

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. **Kraków, 7 maja 1910.** **Nr. 19.**

Wyznanie zbrodniarza.

(Treść na str. 2).



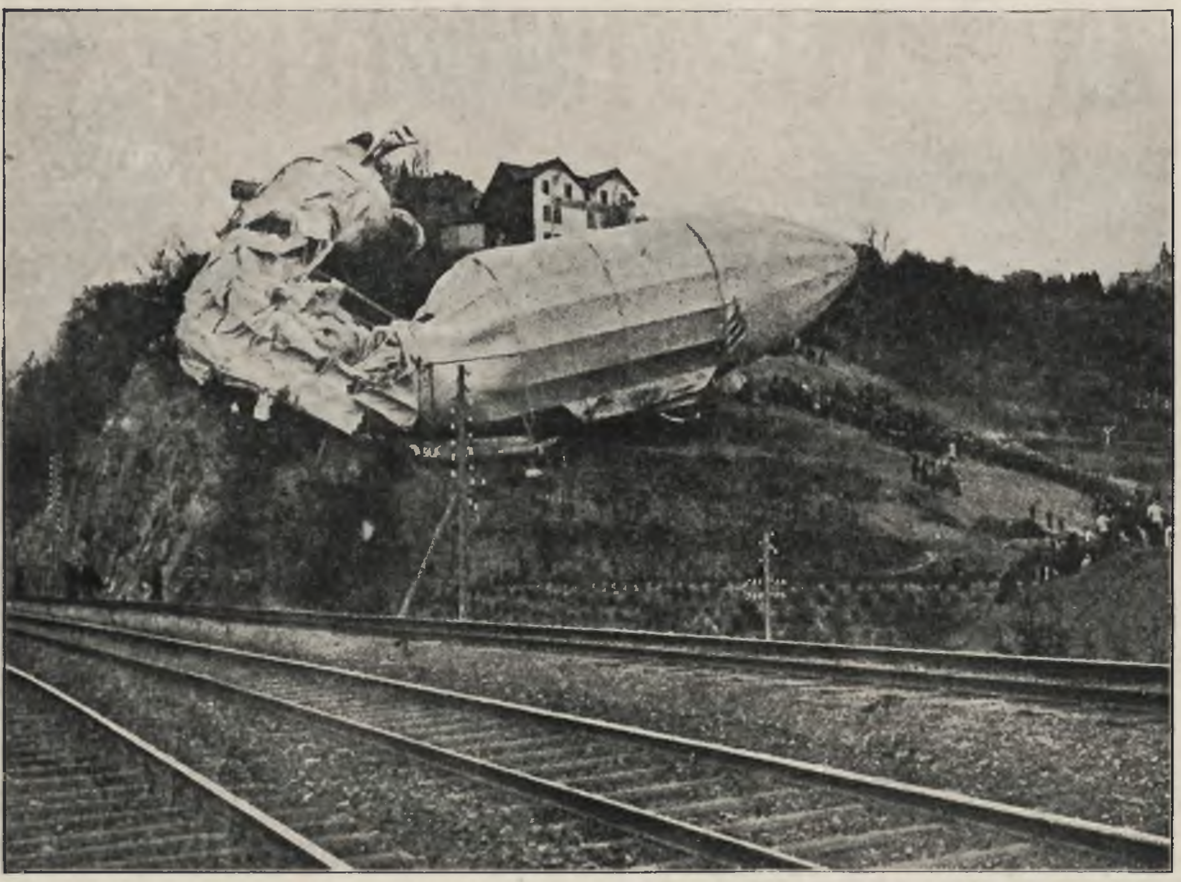
Za... zelenie ajenta policyjnego w Chrzanowie. (Szereg oryginalnych ... na miejscu zbrodni).

Wyznanie zbrodniarza.

(Do illustracyi tytułowej)

Jedną z najsensacyjniejszych spraw kryminalnych, jakie przyniosły ostatnie miesiące, był niewątpliwie zamach trucicielski na oficerów austryackiego sztabu generalnego, zamach, którego ofiarą padł na szczęście jeden tylko oficer, kapitan Mader. Jak wiadomo, podejrzenie o dokonanie zbrodniczego zamachu padło na porucznika Adolfa Hofrichtera, stacyonowanego przy jednym z pułków w Lincu. Śledztwo, bardzo sumiennie i skrupulatnie przeprowadzone przez władze wojskowe i cywilne, nagromadziło cały szereg poszlak i dowodów, przemawiających przeciw obwinionemu porucznikowi Hofrichterowi, a w skombinowanym łańcuchu dowodów brakło tylko jednego ogniwa, t. j. przyznania się podejrzanego.

Mimo bowiem mnóstwa obciążających dowodów, porucznik Hofrichter wypierał się winy, tłómacząc wszystko nieszczęśliwym, fatalnym zbiegiem okoliczności. Także rodzina jego czyniła usilne zabiegi, aby porucznika Hofrichtera uwolnić. Ostatnie tygodnie przyniosły znowu szereg wypadków, które pogorszyły bardzo położenie obwinionego. Wyszło bowiem na jaw, iż porucznik Hofrichter usiłował za pośrednictwem służby więziennej przemycać listy do rodziny, z pouczeniem, w jakim kierunku należy zeznawać oraz że przygotowywał się do ucieczki z więzienia. Okazało się dalej, że nienormalne stany psychiczne, w jakie popadał, były symulacyą, co stwierdzili ponad wszelką wątpliwość lekarze.



Rozbicie się balonu: Balon „Zeppelin II“ po katastrofie.

Fatalny obrót śledztwa i przygniatające wyniki dochodzeń zniewoliły wreszcie Hofrichtera po pięciomiesięcznym przeszło pobycie w więzieniu do przyznania się do spełnienia zarzuconej mu zbrodni. Stało się to w ubiegłym tygodniu.

Już od kilku dni widoczne było, że obwiniony upadł zupełnie na duchu. Oczekiwano też z dnia na dzień przyznania się jego. Istotnie też pewnego dnia zażądał Hofrichter zobaczenia się z prowadzącym śledztwo audytorem Kunzem. Żądaniu temu uczyniono zadość i zaprowadzono obwinionego do biura audytora. Tam złożył Hofrichter obszerne zeznanie, przyznał się do spełnienia zamachu, a jako motyw strasznego czynu podał chęć poprawienia losu ukochanej żony, którą bardzo bolało, iż nie został powołany do sztabu generalnego. Miał nadzieję, że po usunięciu w ten sposób kilku oficerów sztabowych, sam dostanie się na jedno z opróżnionych miejsc.

Mimo, iż wobec wyników dochodzeń, wina Hofrichtera nie ulegała dla nikogo prawie wątpliwości, przyznanie się jego do zbrodni wywarło wielkie wrażenie. Ze względu zaś na fakt, iż zeznania złożone ostatnio przez Hofrichtera, zawierały pewne sprzeczności z tem, co zaraz po aresztowaniu jego zeznała Hofrichterowa, policya wiedeńska wezwała ją ponownie do przesłuchania, celem wyjaśnienia tych sprzeczności. Zawiadomiona o przyznaniu się męża, oświadczyła Hofrichterowa, iż od dawna już była przekonana o jego winie. Zeznała dalej, że o zamiarach męża nic nie wiedziała, ponieważ robił wszystko w zupełnej tajemnicy. W stosunkach między nimi nastąpiło już dawniej pewne oziębienie, ponieważ Hofrichterowa przekonała się, iż mąż ją często okłamuje i zdradza. Celem dokładniejszego zaś wyjaśnienia rozmaitych okoliczności skonfrontowano małżonków ze sobą w obecności audytora i komisarzy policyi, a scenę tę przedstawia nasza dzisiejsza rycina tytułowa.

Ostatecznie okazało się, że podejrzenia przeciw Hofrichterowej nie są uzasadnione, to też pozostawiono ją na wolnej stopie.

Ostatni akt dramatu, t. j. rozprawa przeciw Hofrichterowi, zbliża się szybkim krokiem i prawdopodobnie jeszcze w miesiącu maju rozprawa ta się odbędzie.

Rozbicie się balonu.

Ostatnimi czasy zdarzyło się kilka katastrof balonowych, których przebieg zdawał się zbyt wyraźnie mówić, że ludzkość powinna zerwać z tradycyą wolnych balonów gazowych, a podboju powietrza dokonać przy pomocy balonów motorowych, pozwalających żeglarzom kierować statkiem powietrznym i dających więcej gwarancyi bezpieczeństwa w podróży. Jeszcze głosy te nie zdołały przebrzmieć, aż oto przyszły manewry balonów niemieckich, które miały być zakończone paradą w Hamburgu. Sam cesarz Wilhelm był projektodawcą owych manewrów i on to mimo niepomyślnych przepowiedni meteorologów wydał polecenie, by zapowiedzianej parady nie odkładać.

Po paradzie nad Hamburgiem miał się odbyć powrót statków powietrznych do Kolonii. Biorący w manewrach i w paradzie udział balon „Gross I“, odniósł tak znaczne [illegible] uszkodzenia, że



Zastrzelenie agenta policyi: Prowadzący śledztwo sędzia dr. Kłodziński (1) z Krakowa, oraz praktykant dr. Bar (2) podczas przesłuchiwania świadków w Chrzanowie.



Zastrzelenie agenta policyi: Ś. p. Stanisław Rzeszowski.

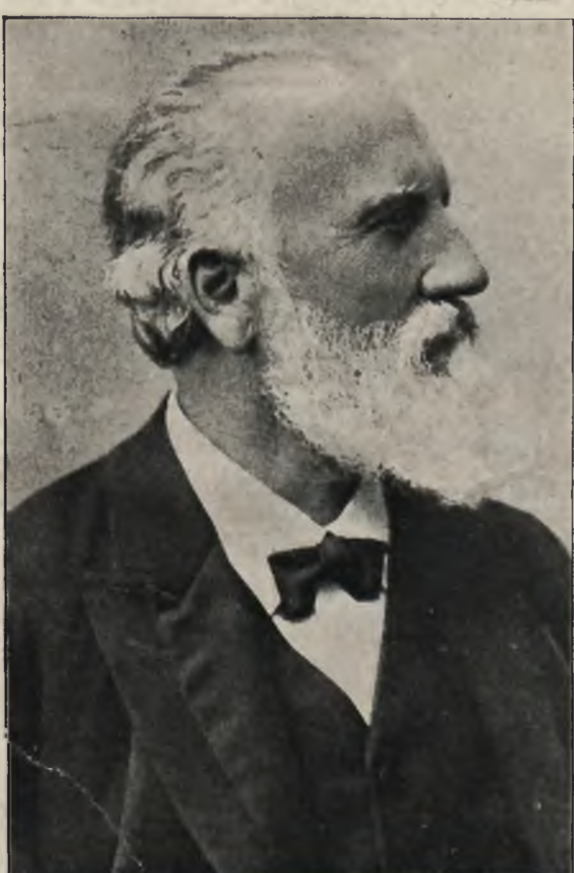
musiano go rozmontować i przewieść koleją do Kolonii. „Parseval II“, powrócił szczęśliwie do hali balonowej w Rickendorf pod Kolonią. Wskutek defektu w motorze, balon „Zeppelin II“, wyruszył w drogę powrotną w parę dni później. Załoga „Zeppelin II.“ musiała wylądować w Limburgu, aby uzupełnić ilość gazu w balonie. Po wylądowaniu w Limburgu poczyniono wszystkie środki ostrożności, aby balon zabezpieczyć przed możliwą z powodu szalejącego wichru katastrofą. Ale siła wiatru była tak wielka, że zwykłe umocowanie kotwicy do wozu, zakopanego w ziemię nie wystarczało. Kazano silnemu oddziałowi żołnierzy trzymać sznury kotwiczne. Nagle koło południa orkan wzmógł się tak bardzo, że o utrzymaniu balonu nie mogło być mowy. Liny kotwiczne zostały zerwane, a balon poszybował w powietrze. W dolinie rzeki Lahn wicher zepchnął balon do samej ziemi, wskutek czego balon odniósł liczne uszkodzenia. Wreszcie balon uderzył z całą siłą o drzewa, pękł na pół i zaplątał się w gałęziach. Zniszczenie było straszne. Do cesarza posłano telegram, że balon jest tak zniszczony, iż o naprawie nie może być mowy.

Katastrofa balonu „Zeppelin II.“ wykazała, iż w razie wichru i burzy lądowanie dla systemu sztywnego jest prawie niemożliwe. W balonach systemu niesztywnego, za pomocą liny rozdzierającej można w jednej niemal chwili opróżnić balon z gazu, przy systemie Zeppelinowskim jest to niemożliwe.

Jak wiadomo katastrofa „Zeppelin II.“ jest drugą z kolei katastrofą typu balonów hr. Zeppelina. Przed 2 laty, t. j. w lipcu 1908 pod Echterdingen eksplodował „Zeppelin I.“, a przed tygodniem w takich samych warunkach, po wylądowaniu przymusowem uległ zniszczeniu „Zeppelin II.“



Zastrzelenie agenta policyi: Miejsce (X), gdzie dokonaną została zbrodnia.



Nowy burmistrz Wiednia: dr. Józef Neumayer.



Zastrzelenie agenta policyi: Ś. p. Stanisław Rzeszowski na marach.

Zastrzelenie agenta policyi.

Obowiązki funkcyonaryuszy policyjnych, zwłaszcza eksponowanych do miejscowości nadgranicznych, są bardzo trudne, a niejednokrotnie połączone z wielkiemi niebezpieczeństwami. Pełno tam ludzi podejrzanych, indywiduów o zbrodniczych instynktach, które straciwszy grunt pod nogami w Królestwie, przekradają się do Galicyi, by szukać tu oparcia i szczęścia.

Zwłaszcza w ostatnich czasach, które zaznaczyły się tylu krwawymi wypadkami w Królestwie, pogranicze austryacko-rosyjskie roi się od rzezimieszków i bandytów. Cały szereg napadów i rabunków, dokonanych ostatnio w zagłębiu krakowskiem, zawdzięczamy właśnie napływowi szumowin społecznych z poza granic Galicyi.

Nic dziwnego też, że władze austryackie czuwają bacznie nad podejrzanymi przybyszami i celem utrudnienia im dostępu do kraju naszego, wzmacniają posterunki żandarmeryi i policyi w tych stronach.

Do miejscowości, gdzie często chronią się wyrzutki z Królestwa, należy i miasto Chrzanów. Z tego powodu przydzielono tam do służby bezpieczeństwa jednego z agentów policyi krakowskiej, Stanisława Rzeszowskiego. Był to człowiek młody, pełen energii, służbisty i obowiązkowy, a przytem niezwykle sprytny. To też władze miejscowe były zupełnie z jego działalności zadowolone.

I właśnie ten dzielny agent padł w ubiegłym tygodniu ofiarą swego obowiązku, zamordowany w czasie służby przez bandytów z Królestwa. Wypadek ten, tak tragicznie zakończony, rozegrał się w ubiegły piątek rano. Agent Rzeszowski szedł w krytycznym czasie główną ulicą Chrzanowa, prowadzącą do dworca kolejowego, a parę kroków za nim postępował jeden z policyantów miejskich. W ulicy tej, już na krańcach miasteczka, zauważył Rzeszowski paru młodych ludzi, o podejrzanym wyglądzie, zbliżył się więc do nich i zażądał wylegitymowania się. W tej chwili jeden z zatrzymanych przez Rzeszowskiego dobył z kieszeni brauninga i strzelił kilkakrotnie do agenta, kładąc go trupem na miejscu. Dawszy jeszcze parę strzałów na postrach, bandyci zbiegli przez pola w kierunku Liszek.

Zastrzelenie agenta policyjnego wywołało nietylko w Chrzanowie, ale i w całej okolicy bardzo przygnębiające wrażenie. Wypadki takie u nas prawie się nigdy nie zdarzały, a stosowanie metody bandyckiej na gruncie galicyjskim należy uważać za objaw bardzo smutny. Władze więc sądowe i policyjne zarządziły bardzo energiczne dochodzenia w celu wyszukania winnych.

Z ramienia sądu karnego w Krakowie prowadzi śledztwo sędzia dr. Kazimierz Kłodziński, który w ubiegłą sobotę wyjechał wraz z dr. Lucyanem Barem, praktykantem sądu, na miejsce zbrodni celem dalszych dochodzeń. Już w pierwszych dwóch dniach aresztowano kilka podejrzanych osobników, nie stwierdzono jednak na razie, czy to oni są sprawcami zbrodni. O ile zbrodniarze nie zbiegli po za granice Galicyi, to należy się spodziewać, że w najbliższych już dniach wpadną w ręce władz i że spotka ich surowa, a zasłużona kara za niesłychaną zbrodnię.

Nowy burmistrz Wiednia.

Po śmierci dra Luegera dość długo kwestya następstwa po nim była kwestyą sporną. Jak wiadomo, życzeniem śp. dra Luegera było, by burmistrzem Wiednia został dr. Weisskirchner, zasiadający obecnie w gabinecie bar. Bienertha jako mąż zaufania stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego i jako minister handlu. Względy natury politycznej nie pozwoliły drowi Weisskirchnerowi wypełnić woli śp. dra Luegera. Po długich naradach stronnictwo postanowiło na godność burmistrza wysunąć dotychczasowego pierwszego wiceburmistrza miasta Wiednia, dra Józefa Neumayera, z tem jednak zastrzeżeniem, że po pewnym czasie dr. Neumayer dobrowolnie ustąpi i zrobi miejsce drowi Weisskirchnerowi. Dr. Neumayer warunek ten przyjął i rada miasta Wiednia wybrała go burmistrzem, a cesarz wybór ten zatwierdził.



Zmiana w ministeryum: Ustępujący szef sekcyi w ministeryum spraw wewnętrznych, Jerzy Piwocki.

Z racyi wyboru burmistrza, w partyi chrześcijańsko-socyalnej przyszło nawet do poważnego naprężenia między obu grupami partyjnemi t. j. miejską i agrarną, z których każda popierała swego kandydata na krzesło burmistrzowskie. Dr. Neumayer był kandydatem grupy miejskiej, podczas gdy grupa agrarna chciała wysunąć jako oficyalnego kandydata byłego ministra, dra Gessmanna, który pod względem zdolności retorycznych dorównywał zmarłemu wodzowi chrześcijańsko-socyalnych. Grupa miejska zwyciężyła i dr. Neumayer został wybrany jako oficyalny kandydat całej partyi burmistrzem miasta Wiednia.

Zmiana w ministeryum.

Szef sekcyi w ministeryum spraw wewnętrznych, Jerzy Piwocki, jeden z najwybitniejszych urzędników i znawców prawa administracyjnego, ustąpił tymi dniami ze swego stanowiska, przechodząc w stan spoczynku, a na jego miejsce mianowano szefem sekcyi dra Juliusza Kleeberga, obecnie wiceprezydenta namiestnictwa galicyjskiego.



Zmiana w ministeryum: Nowy szef sekcyi w ministerstwie spraw wewnętrznych Juliusz Kleeberg.

Nowy szef sekcyi cieszy się również opinią urzędnika i prawnika niezwykle uzdolnionego. Urodzony 1850 r., po ukończeniu studyów uniwersyteckich wstąpił 1875 r. do służby politycznej, gdzie wnet zwrócił uwagę przełożonych swemi wybitnemi zdolnościami i rzadką pracowitością. Jako młody stosunkowo urzędnik został starostą w Łańcucie a następnie w Bochni, poczem powołano go do namiestnictwa, gdzie otrzymał kierownictwo jednego z najważniejszych departamentów, mianowicie departamentu przemysłowego. Po paru latach niezwykle wydatnej i dla kraju wielce pożytecznej działalności, został przeniesiony do Wiednia, na stanowisko członka trybunału administracyjnego. W Wiedniu wysunął się odrazu na czoło wśród urzędników tamtejszych, jako człowiek wysokiej bardzo wiedzy prawniczej, jako niepospolity znawca prawa cywilnego i administracyjnego i jako mąż wielkiej prawości i sumienności. Spodziewano się też, że wnet zostanie prezydentem senatu w trybunale administracyjnym. Tymczasem w namiestnictwie galicyjskiem kreowano stanowisko drugiego wiceprezydenta i właśnie dr. Kleeberg został na nie powołany. Przybywszy 1907 r. do Lwowa, zaznajomił się bardzo szybko z agendami urzędowemi namiestnictwa i przez czas swej działalności we Lwowie był wielce pomocnym namiestnikowi.

Obecnie, gdy ustąpił szef sekcyi Piwocki, uznano wiceprezydenta Kleeberga za najgodniejszego jego następcę. Z czasów pobytu swego w Wiedniu bowiem, pozostawił po sobie pamięć jak najlepszą.

Ofiary podboju powietrza.

Z każdym dniem coraz więcej ofiar pochłania awiatyka. Prawie że każdy krok naprzód musi być okupiony jakiemiś ofiarami. Mimo to można zauważyć, że po każdym nieszczęśliwym wypadku wzrasta tylko odwaga i zuchwałość tych pionierów podboju powietrza, którzy z lekceważeniem życia wzbijają się wysoko ponad ziemię i bez trwogi szybują ponad głębinami morskiemi. I tak niedawno niemiecki awiator Grade wpadł do wody podczas lądowania na brzegu rzeki i doznał dość poważnych obrażeń. Głośny pilot Rougier o mało nie utonął w morzu, spadłszy w pobliżu Nicei wraz ze swym dwupłaszczyznowcem do wody z wysokości 30 m. Cudem tylko zdołał się wyratować, podczas gdy aparat cały został doszczętnie zdruzgotany. Biorący udział w meetingu awiatycznym w Nicei, awiator Chavey, spadł również do morza ze znacznej wysokości ale tak blisko brzegu i tak szczęśliwie, że i aparat i on sam wyszli z upadku dość cało.

Jak najświeższy przykład uczy, katastrofa może spotkać aeroplan nietylko w powietrzu ale i na ziemi i do tego w hangarze. W okolicy pola awiatycznego koło Chalons szalała przed tygodniem tak straszna burza, że obaliła wiele hangarów i zniszczyła znajdujące się w środku aparaty. Szkoda, powstała wskutek tego, jest bardzo znaczna. Mimo tej walki, wypowiedzianej przez żywioł powietrzny ludzkości, dokonywującej zwycięsko podboju powietrza, nie ustają w swych usiłowaniach liczne dziś na całym świecie kolonie awiatorów.





Ofiary podboju powietrza: Zniszczony aerodròm w Chalons po burzy. Wyławianie Chaveya wraz z aeroplanem z morza w pobliżu Nicei.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

19 (Ciąg dalszy).

— O czem rozmawiacie? — zapytała.

— Gdybym cię prosił, droga Ewelino, o jedno poświęcenie, uczyniłabyś je dla mnie?

— Do wszelkich poświęceń dla pana gotowa jestem, master Brentano!

— Nie chciałaś ani zamieszkiwać, ani wynajmować obcym tego domku, pełnego wspomnień, zwłaszcza że rozegrał się tu bolesny dramat... dałaś w ten sposób dowód pietyzmu dziecięcego... Mogę ci tylko winszować tego!... Lecz ja nie jestem zupełnie obcym dla ciebie, Ewelino!... Chciałbym...

— Pan chciałby?... — wyszeptał Marcadian. — Naprawdę pan chciałby zajmować to nieodpowiednie i niegodne pana mieszkanie przez trzy miesiące pobytu swego w Paryżu?... To chyba żarty tylko, master Brentano!... Pan jest takim samym oryginałem, jakim był Joe ze swym pałacykiem w Neuilly!... Czy siostrzenica moja nie oddaje panu do dyspozycyi swego wygodnego pałacu przy avenue Bois?...

Ewelina patrzyła na mnie ciągle przenikliwie, lecz bez najmniejszego drżenia wytrzymałem jej wzrok...

Czekała, aż Marcadian skończy swe bezcelowe gadanie i odpowiedziała... zanim ja zdołałem sformułować życzenie, odgadnięte tym razem trafnie przez Marcadiana:

— Dobrze, master Brentano!... Pańskie życzenia są rozkazami!... Pan jest tu panem!

XXV.

Miałem dwie drogi do wyboru i nie mogłem się zdecydować ani na jedną, ani na drugą...

Doszedłem do kulminacyjnego punktu swych awanturniczych przygód i nie wiedziałem teraz, jakie im nadać logiczne rozwiązanie... Byłem jedynym panem położenia... Przed sobą nie miałem już żadnych przeszkód! Nie krępowały mnie żadne więzy!... William Duncan zmarł w dwa tygodnie po moim przyjeździe do Francyi, jak to ściśle przepowiedział jego następca w zarządzie domu zdrowia!... Przeszedł ze świata tego w wielką krainę ciszy i zapomnienia, by spotkać tam swą kochankę Łucyę Weill i ojca swego, Joego Duncana!...

I teraz, gdym znalazł się koło Eweliny i jej ukochanych dwojga dzieci, byłem jedynym, niezaprzeczonym posiadaczem tajemnicy mego życia... Odemnie tylko zależało otworzyć usta i zwierzyć się z sekretu, który ciążył na mem życiu, albo też zawrzeć na zawsze wargi, by pokryć wiecznem milczeniem swe straszne przygody!... Mogłem powiedzieć do wdowy Williama: „Jestem twym ojcem, rzeźbiarzem Barrabasem i powracam do twego ogniska, drogie dziecko, z sercem obciążonem tyloma wspomnieniami i wzywam twej dobroci, byś osłodziła nią ostatnie dni mego burzliwego żywota!“ I jestem pewny, że Ewelina, której niepokój jest widoczny i która jest jedyną na świecie osobą, domyślającą się mej istotnej osoby, przyjęłaby z radością me słowa!

Mogłem również odjechać do Ameryki i prowadzić tam bez żadnych obaw normalne życie Jonatana Brentano, nowego króla papierowego!

Gdybym słuchał tylko głosu swego serca i kierował się tylko pobudkami miłości, które domek w Bry-sur-Marne czyniły mi milszym od wszystkich pałaców w całym świecie, a sąsiedztwo mej córki i ukochanych wnucząt droższem od wszystkich skarbów na całej kuli ziemskiej, skłoniłbym się bezwarunkowo do pierwszego rozwiązania tych trudności! Głos jednak rozsądku zapanował we mnie nad uczuciowością!

Jakiem prawem mam stawać między Eweliną a życiem? Dla jakiego, czysto egoistycznego zadowolenia mam zjawiać się w życiu bliskich mi osób, jako żyjący obraz i przypomnienie minionych cierpień i wyrzutów? Gdybym raz zrzucił tę maskę, pod którą żyłem do tej pory, umarły dla świata, rozjątrzałbym tylko ciągle zabliźnione już rany! Koniecznem zaś było, jeżeli nie dla Eweliny, to przynajmniej dla przyszłości tych dwojga małych dzieci, nieodpowiedzialnych za zbrodnie i namiętności innych, aby dokoła tych tragicznych wydarzeń zaległo głuche milczenie! Powrót zaś mój do właściwego imienia byłby dla nich żywem wskrzeszeniem zapomnianej przeszłości!...

I z pragnień swych usuwałem pierwsze rozwiązanie, a skłaniałem się rozsądkiem do drugiego, które po tylu poświęceniach z mej strony miało być jeszcze jednem, lecz ostatniem poświęceniem dla przyszłego szczęścia mych dwojga wnucząt! Odjadę Brentanem, jak nim przyjechałem. Opuszczę już na zawsze tym razem, mały domek, ocieniony krzewami, w którym przez kaprys dziwaka, jak to uważał Marcadian, żyłem od dwóch miesięcy w spokoju i szczęściu... Aż do ostatniego swego tchnienia będę chował w sobie tę straszną tajemnicę i bez łzy w oku, bez zmrużenia powiek przed badawczem spojrzeniem Eweliny, pożegnam na wieki tę pracownię, w której jedyną po mnie pamiątką pozostanie postać mej drogiej żony Gabryeli, zakutej w posąg Boleści.

Było to przykazanie rozsądku i wypełniłbym je ze stoicyzmem, gdyby logika rzeczy, wyższa zawsze od logiki ludzi, nie nadała nagle mym niezwykłym przygodom nowego zakończenia, które nie tylko, że nie zależało odemnie, lecz do którego ja musiałem zastosować resztę swego życia!

...Prawie codzienie jeździłem do Paryża i żyłem w zażyłości z Eweliną, w jakiej tylko mógł żyć Jonatan Brentano... Dla dzieci byłem nietylko dziadkiem, lecz i wielkim ich przyjacielem... Zeszpecona moja twarz nie przerażała już ich tak, jak z początku. Wdrapywały mi się na kolana, wieszały na szyi..., a rozczulony Marcadian powtarzał:

— Pan teraz, panie Brentano, ma minę prawdziwego dziadka!

Śmierć Williama w zakładzie w Saint Mandé zbliżyła nas jeszcze bardziej ku sobie, związała nas jeszcze silniejszymi węzłami. Ewelina, chociaż przygotowana już na ten cios, odczuła go jednak tak boleśnie, iż przez pewien czas życie jej było w niebezpieczeństwie. Doktór, który rozmawiał ze mną bez żadnych ogródek, sądząc, że mówi do człowieka zupełnie obcego, oznajmił mi pewnego dnia:

— Tych dwoje dzieci zostanie wkrótce sierotami, master Brentano!... My, lkearze, widzimy zupełnie jasno, iż wstrząśnienia moralne, jakie ta młoda kobieta zniosła w swem krótkiem życiu, zrujnowały zupełnie jej organizm. Wyniszcza go w dodatku cierpienie wewnętrzne, gorsze od wszelkich chorób i wobec którego wiedza nasza jest bezsilna! ...Zauważyć się w niej daje rozstrój moralny, którego następstwa są o tyle niebezpieczne, iż nauka nie wynalazła jeszcze na niego żadnego skutecznego środka!... Jest ona — niech pan zwróci uwagę na porównanie, gdyż tłómaczy ono dokładnie mą myśl — jak lira z naciągniętemi do ostateczności strunami, które dziś lub jutro pękną wszystkie razem od jednego silniejszego szarpnięcia!

Słuchałem zwierzeń doktora, nie okazując żadnego wzruszenia... Nigdy nie przejmowałem się zbytnio pewnikami uczonych... a teraz wprost gwałt sobie czyniłem, by do słów lekarza nie przykładać tego znaczenia, jakie on im chciał nadać. ...Marcadian przyjeżdżał często odwiedzać mnie w Bry... Mawiał też nieraz:

— Jaką bajeczną przyszłość ma tych dwoje cherubinków, dzieci mej siostrzenicy!... Naprawdę, master Brentano, iż chwilami zdaje mi się, iż nie jestem przy swych zmysłach, iż to wszystko jest tylko snem, złudzeniem!... Bywają chwile, iż chwytam się obiema rękami za głowę i staram się rozumować zimno, o ile tylko człowiek zdolny jest do tego!... Miewam nieraz chwile, gdy, patrząc na ten mały domek, dochodzę do tego, iż bez żadnej litości rozmyślam o losie swej siostry Gabryeli, zabitej przez swego syna Polidora... a tembardziej o losie Polidora, który nie zasługiwał na nic lepszego!... Przyznam się nawet panu zupełnie szczerze, iż często litość swą odczuwam jedynie dla swego szwagra, Barrabasa!... Och! gdyby go pan znał, master Brentano!... Nazywano go tutaj królem waryatów...

I po chwili zadumy dodał melancholijnie:

— Słuszniejby go nazywano królem mądrych... jego natychmiastowe zniknięcie po dramacie i ten dziwaczny sposób, w jaki przyjął na siebie całą odpowiedzialność, by ocalić swego syna, dowodzi tylko, iż był on może nieświadomym sprawcą, lecz w każdym razie sprawcą wszystkich wypadków, jakie się w następstwie tego zdarzyły!... Biedny, nieszczęśliwy człowiek!... Gdyby on mógł wiedzieć, do jakich rezultatów doprowadził ten niezwykły jego pomysł!... Nie, nigdy nie mogę wspomnieć o nim, bez uczucia głębokiej wdzięczności, a zarazem litości nad jego nieznanym losem!

I Marcadian, wzruszony, ucierał ukradkiem płynące mu po policzkach łzy...

...W swem chwilowem ustroniu, odbierałem również wizyty swego sąsiada, „Mrugacza“, emerytowanego oficera, który po dawnemu pozostał plotkarzem i wszystkowiedzącym!...

— Ho! ho! panie Amerykanin — zaczynał odrazu Mrugacz — ta historya z Barrabasem jest to piekielna historya!... Niech pan tylko nie daje się brać na kawały tego adwokata Marcadiana, z którego jest chytra i podstępna sztuka!... Znałem rzeźbiarza tak, jak pana znam... Siedział w nim kawałek urwanego dyabła, ale był to dobry człowiek!... Jest w tem wszystkiem szatańska machinacya, w której i najsprytniejszy ajent nie domaca się początku! Co do mnie, to ja nigdy nie wierzyłem ani w samobójstwo Polidora, ani jego ojca!... Tak można zwodzić tylko naiwnych! I nie zdziwię się wcale, gdy pewnego pięknego poranku, kiedy nastąpi już przedawnienie, zjawią się obydwaj, by podzielić się majątkiem!

— Co też pan plecie, panie Mrugaczu! Dowiedzionem jest, że zaszedł wypadek...

— Wypadek! Nie przypuszczam, że jest pan tak naiwny, aby wierzyć w takie brednie!... My tu wiemy, co o tem myśleć!... Barrabas, rzeźbiarz, łapał ryby podczas... wypadku! To widziałem na własne oczy!... Co zaś do syna, to był to jeden z najlepszych, najspokojniejszych chłopców!... Ja panu powtarzam, że tu jest tajemnica...

— To z pewnością...

— Tajemnica, do której klucz posiada tylko ta stara kuna, Marcadian...

— Dlaczego Marcadian?

— Ponieważ Marcadian...

I stary, emerytowany oficer rzucił naprzód badawcze dokoła spojrzenie, by przekonać się, czy nikt nie podsłuchuje, a potem nachylił się do mego ucha i szepłał po cichu:

— Ponieważ według mnie, jedynie Marcadiana można podejrzewać o to zabójstwo!

Przypuszczenie, że Marcadian jest zabójcą, było tak bezgranicznie naiwne, iż z trudem tylko powstrzymałem się od wybuchu śmiechu... Spojrzałem na swego towarzysza i ujrzałem śmiesznego człowieczka, który pod wysoko podniesionymi brwiami obracał w koło swemi dużemi, głupiemi oczami... Potem przymrużył je chytrze i kładąc palec na ustach, dodał z tajemniczą miną:

— Wiem ja o tem więcej, niż na razie mogę powiedzieć!

...Dziwactwa starego emeryta nie zawsze były tak rozweselające. Lubił on jednak płatać figle! Mimo swych siwawych, wielkich wąsów i donośnego głosu starego brygadyera, miał dziecięcą duszę, pełną prostoty i naiwności...

Pewnego ranka, gdy byłem w pracowni, zjawił się Mrugacz.. Nie pukając, otworzył drzwi i zawołał swym tubalnym głosem:

— Dzień dobry, panie Amerykaninie!

Obróciłem się zaraz, niezadowolony z tej wizyty... i ujrzałem naraz śmieszną postać swego sąsiada, który na twarz włożył sobie tekturową maskę, ozdobioną wielką, rozwichrzoną brodą!... Tak byłem zdziwiony tym żartem, iż na razie nie wiedziałem, co mu powiedzieć...

— I cóż to — rzekł, zdejmując swą maskę i śmiejąc się głośno — nie wie pan, że to dzisiaj tłusty czwartek? ...Czy u was w Ameryce nie umieją się śmiać?

Położył swój karnawałowy strój na stole i uścisnął silnie mą rękę...

— Jakie pan z siebie straszydło zrobił!... Czy pan, panie Mrugaczu, chce być zawsze młodym? — żartowałem.

Zapaliliśmy fajki i w dobrym humorze rozmawialiśmy do jedenastej godziny.

Dnia tego oczekiwałem ze śniadaniem na Marcadiana i Ewelinę z dziećmi... Minęła już dobra godzina, jak Mrugacz bawił mnie swemi wssołemi opowiadaniami z życia koszarowego, gdy przyjazd mych gości uwolnił mnie wreszcie od niego... Wyszedł też zaraz, zapomniał jednak zabrać z sobą swej maski.

Było to dla mnie zawsze wielką radością, gdy mogłem przy stole swym mieć szwagra i córkę z dziećmi, którzy we mnie widzieli ciągle tylko orginalnego jankesa, gdy tymczasem oni dla mnie, przedstawiali obraz rodziny, wśród której chciałem spędzić resztę swych dni. Ewelina dnia tego była bardziej zdenerwowaną i niespokojną, niż zwykle... dzieci zaś weselsze i hałaśliwsze, niż gdym widział je ostatnim razem. Marcadian tylko, był w swem zwykłem, jednostajnem usposobieniu.... Jedliśmy wszyscy z wielkim apetytem... Zebranie to było dla mnie nadzwyczaj miłem i rozrzewniającem... Piotr i Zuzanna przepadali teraz za mną... Brałem udział we wszystkich ich zabawach, spełniałem wszystkie ich zachcianki i kaprysy...

— Pan je psuje, master Brentano! — wymawiała mi czule Ewelina.

— Będą tęsknili za panem, gdy pan wyjedzie do Nowego Jorku! — dodał Marcadian.

Nieprzyjemną mi była ta aluzya do mego odjazdu, który naznaczyłem na przyszły tydzień! By-

łem rozdrażniony sam na siebie! I tak cierpiałem, że muszę opuścić to miejsce, a on przypomnieniem tego, psuł mi jeszcze ostatnią może chwilę radości...

Czas był jak na ową porę bardzo przyjemny i Ewelina postanowiła po śniadaniu przejść się wraz z dziećmi nad brzegami Marny... Marcadian chciał, bym im towarzyszył, ponieważ jednak drzemałem zawsze po jedzeniu, wolałem więc odpocząć w pracowni na kanapie, jak to czyniłem codziennie, niż iść razem z nimi.

— — — — — — — — — — — — —

I oto ta sama pracownia rzeźbiarza Barrabasa, w której przed trzema laty rozegrała się pod posągiem *Boleści* krwawa scena między mą ukochaną żoną, Gabryelą, a synem jej Polidorem, stała się obecnie widownią nowego dramatu między obywatelem amerykańskim, Jonatanem Brentano, a wdową po Williamie Duncanie! A dramat ten był tak nagły i niespodziewany, tak niezależny od woli mej, tak sprzeczny z mymi zamiarami i pragnienieniami i tak burzący doszczętnie najtajniejsze me marzenia, iż dzisiaj jeszcze odczuwam go tak boleśnie, jakgdyby zdarzył się dopiero wczoraj.

...Leżałem na kanapie z przymkniętemi powiekami i marzyłem o przyszłem szczęściu mej córki, gdy nagle Piotr i Zuzanna, którzy powrócili już ze spaceru, zakradli się po cichu do pracowni.

— Cicho! — szepnęli do siebie, hamując swój wesoły śmiech. — Śpi!

Przez przymrużone powieki patrzyłem na ich ciche i bojaźliwe kocie ruchy... Mieli dziecięce dusze, jak ten stary emeryt, Mrugacz... Domyśliłem się też, iż w swych młodych, jasnych główkach, szukają jakiegoś figla, którego mogliby mi spłatać! Nie ruszałem się więc i nie zmieniałem swej pozycyi, zachęcając ich do zabawy swym udanym snem, sam się bawiąc ich wesołością... I stałem się teraz tak dziecinny, jak ten Mrugacz, tak dziecinny, jak moi wnukowie.

Pierwsza Zuzanna spostrzegła maskę z długą brodą, pozostawioną przez Mrugacza... Podeszła na palcach do stołu, schwyciła ją i wkładając na twarz Piotrowi, wybuchła powstrzymywanym śmiechem.... Podniosłem nieco powieki i cieszyłem się ich zabawą... Nagle doznałem dziwnego wrażenia... Maska ta wyglądała teraz inaczej, niż rano... Swą długą, szeroką brodą przypominała dokładnie twarz rzeźbiarza Barrabasa! Był to mniej więcej ten sam zarost, ten sam sposób jej czesania!... I ta parodya mej prawdziwej dawnej twarzy, na twarzy mego maleńkiego wnuka, była dla mnie jakiemś miłem zjawiskiem...

— A żeby jemu przyłożyć? — szepnęła Zuzanna.

I pełni trwogi, powstrzymując oddech, Piotr i Zuzanna, stąpając po cichu, zbliżali się powoli do kanapy... Nie ruszałem się i przymknąłem znowu oczy, poddając się chętnie ich radosnym figlom... Zuzanna przejęta swą rolą, postąpiła ku mnie bliżej i drżącą swą rączką włożyła mi niezgrabnie na twarz tę maskę...

Cofali się już, by przekonać się, jak wyglądam, gdy nagle otworzyły się drzwi do pracowni i ukazała się w nich Ewelina...

Zaskoczeni z nienacka, a zarazem i zachwyceni swym figlem, dali znak ręką swej przerażonej matce, by była cicho:

— Psst!

Pragnąc ich ucieszyć, podniosłem się na łokciu i również szepnąłem:

— Psst!

Wtedy Piotr i Zuzanna zachwyceni, że udał im się figiel i przejęci radością, zaczęli skakać dokoła mnie i wołać swemi dziecięcemi głosami:

— Maska!... Maska!...

Gdy w temprzez otwory w masce spostrzegłem przerażeniem, że Ewelina wyciąga ku mnie błagalnie swe ręce... Ujrzałem jej przestraszone oczy, jej drżące wargi... Twarz jej pokrywała śmiertelna bladość...

Teraz dopiero pojąłem przerażenie, jakie nią owładnęło... Zerwałem natychmiast zdradną maskę, która pokazała jej twarz rzeźbiarza Barrabasa... i zdawało mi się, że tym samem ruchem wyrwałem jej z piersi duszę!...

Drgnęła cała, zachwiała się i ze ściśniętego jej gardła dobył się jeden okrzyk:

— Mój ojcze!

Przestraszone tem dzieci rozpłakały się i krzycząc głośno, uciekły z pokoju... W tej samej chwili wbiegł Marcadian i służba...

Schwyciłem w swe ramiona postać omdlałej córki, która padła u stóp posągu Boleści w tem samem miejscu, gdziem dawniej zastał zwłoki jej matki, zabitej uderzeniem młotka Polidora...

— Pomóż mi! — rzekłem do Marcadiana...

Zanieśliśmy ją na piętro i złożyliśmy na łóżku, które zajmowała jako młoda panna. Marcadian stał jak osłupiały, poprosiłem więc go:

— Biegnij do Bry po lekarza... i zostaw nas samych!

Ewelina otworzyła oczy... W swej szerokiej dłoni trzymałem jej drobną. rozpaloną rączkę o cieniutkich palcach, na których nie świecił już, tak jak dawniej, mały pierścionek szmaragdowy... Uśmiechnęła się



Naraz przez otwory w masce spostrzegłem z przerażeniem....

smutnie... poruszyła wargami... Czyniła wysiłki, by przemówić... Przyłożyłem ucho do jej ust i usłyszałem zaledwie dosłyszalny, harmonijny szept, który był dla mnie ostatnią jej pieszczotą... Ewelina zdołała jeszcze wyszeptać:

— Umieram szczęśliwa!...

I cicha, spokojna jej twarz zajaśniała jakimś blaskiem... Wargi jej zadrżały... piękne jej oczy zakryły się powiekami... Wydała z siebie lekkie tchnienie:

Umarła, uśmiechając się radośnie jak w jakiem cudnem marzeniu!...

— — — — — — — — — — — — — —

Lekarz przybył razem z zadyszanym i spoconym Marcadianem...

Rzekł też zaraz.

— To jasne... Serce... Embolia!

Marcadian, który zdawał się nie rozumieć jeszcze tego ciosu, powtórzył bezmyślnie za lekarzem:

— Tak... embolia... to było do przewidzenia!...

W pokoju zapanowała prawdziwie martwa cisza...

Pojąłem teraz, że tajemnica moja zapadła już na zawsze w przepaść, że przy tem śmiertelnem łożu, zakończyły się już ostatecznie me tragiczne przygody... Zrozumiałem, że wszystko już skończone...

EPILOG.

Tak, wiem dobrze, że dwie siły rządzą światem, jak mówią poeci, Miłość i Śmierć. Wiem również z doświadczenia, że ludzkość, jak to ciągle powtarzają ci sami poeci, karmi się krwią i rozkoszą... Są to jednak tylko słowa!... Jest także Życie, którego dwoma przeciwnymi biegunami jest ta Miłość i Śmierć!... I to życie otwiera się teraz przed Piotrem i Zuzanną...

Czy pamięć mej ukochanej żony, Gabryeli, ma tu jeszcze jakie znaczenie? Żadnego, jak również i pamięć o Polidorze!... A nawet jak i pamięć o Ewelinie!... A zresztą, czy ja, jeszcze żyjący, mogę być brany w rachubę!

Jest tylko Piotr i Zuzanna, którzy tutaj stanowią wszystko, gdyż oni są Przyszłością i Życiem... wszystko inne jest tylko Przeszłością!

— — — — — — — — — —

Chodzę codziennie nad brzegi Marny i łowię ryby, paląc swą glinianą fajkę... Mrugacz nie opuszcza mnie... Mówi mi nieraz:

— Panie Amerykaninie, z pana jest niezwykły oryginał... Przy pańskich milionach, prowadzić podobne życie, tak marne, tak liche!... Muszę panu którego dnia opowiedzieć prawdziwą historyę prawdziwego Barraba!... Wie pan, ja go tak znałem, jak pana i nie mnie Marcadian weźmie na kawał!

— — — — — — — —

Marcadian odwiedza mnie także często.

— Master Brentano — rzekł mi — po śmierci mej siostrzenicy Eweliny Duncan, przyjąłem na siebie opiekę nad Piotrem i Zuzanną; gdy jednak na mnie przyjdzie kres... a ja się starzeję bardzo, Jonatanie... ty jeden tylko pozostaniesz, by czuwać nad ich wychowaniem! Masz doświadczenie życiowe i kochasz je tak, jak ja je kocham... jak drugi ojciec! To są koniec końcem prawdziwe twe dzieci... ci wnukowie Nelly Burlington!...

I pozostaję sam po powrocie do miejsca, z którego wyszedłem na swą straszną wędrówkę... pozostaję niepoznany i takim już będę aż do śmierci, która przyjdzie mnie zabrać z mego małego domku w Bry!...

— — — — — — — —

I chociaż paradoksalnem może wydać się to słowo — jestem szczęśliwy, ja Brentano, obecnie król mądrych, szczęściem Piotra i Zuzanny, którzy są przyszłością, podczas gdy Barrabas, król waryatów, zaginął już w przeszłości!...

— — — — — — — —

Nie myślałem, że John Fellow mówi prawdę, gdy rozczulał się:

— Przeczuwam, master Brentano, że pan nie powróci do Ameryki!

I rzeczywiście nie wróciłem już do Nowego Jorku.

Adwokat Teck zajął się wraz z mym sekretarzem oceną kolosalnego trustu papierowego... Ja pozostałem tylko głównym akcyonaryuszem Johna Fellowa, który zasłużył sobie na ten majątek... i to już wszystko! Tak, to wszystko, a ja jestem tylko do śmierci „człowiekiem bez twarzy“...

Stoję osamotniony w pośrodku tylu ruin, a przedemną wznosi się tylko posąg „Boleści...“ symbol Życia, które jest tylko jedną długą boleścią i którego tajemniczo zawarte usta, roztwierają się dopiero po śmierci...

KONIEC.

Jubileusz „Kółka filologicznego“.

Młodzież, kształcąca się na uniwersytetach, wiąże się zazwyczaj w stowarzyszenia, związki, kółka, bądź o celach towarzyskich, bądź naukowych, bądź sportowych itd. Stowarzyszeń takich jest mnóstwo wśród studentów każdego uniwersytetu. Jedne z nich prosperują bardzo pięknie, inne słabiej, zależnie od ilości członków, co znowu zawisło przeważnie od celu danego związku.

Młodzież, studyująca na Wszechnicy Jagiellońskiej, ma również szereg tego rodzaju stowarzyszeń i kółek, a do najstarszych wśród nich i najpiękniej się rozwijających należy „Kółko filologiczne uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego“. W ubiegłym tygodniu święciło to Kółko jubileusz ćwierćwiekowy działalności w charakterze odrębnego i samodzielnego stowarzyszenia. Założone bowiem zostało właściwie przed 31 laty, ale początkowo było Kółkiem naukowem w łonie „Czytelni akademickiej“, a dopiero w r. 1885 otrzymało własny statut.

„Kółko filologiczne U. U. J.“ było pierwszem i przez wiele lat jedynem stowarzyszeniem akademickiem o charakterze naukowym i to nietylko w łonie „Czytelni akademickiej“ ale wogóle na krakowskim uniwersytecie.

„Kółko“ skupiało przedewszystkiem filologów klasycznych, obok nich jednak pracowali w niem słuchacze lingwistyki porównawczej, literatury i języka polskiego i niemieckiego. Celem zaś jego było wzajemne kształcenie się członków w zakresie nauk filologicznych i nawiązywanie ściślejszych węzłów koleżeńskich między słuchaczami filologii.

Zadanie swe spełniało „Kółko“ zawsze należycie a dowodem tego pokaźna w każdym roku ilość posiedzeń naukowych, odczytów, wykładów i pogadanek, na których toczyła się żywa dyskusya na temat interpretacyi tekstów klasycznych itp., co oczywiście wyrabiało wśród członków zmysł krytyczny i samodzielność sądu. Piękny swój rozwój zawdzięcza „Kółko“ nietylko gorliwości i pracowitości swych członków, ale i serdecznemu poparciu ze strony profesorów.



Dar Sokolstwa na pamiątkę Grunwaldu: Plakieta wykonana wedle projektu prof. T. Rybkowskiego.

Rocznicę założenia święcili członkowie „Koła“ w uroczysty ale poważny posób. W sali seminaryum filologicznego, siedzibie „Kółka“, zebrało się liczne grono członków oraz protektorów „Kółka“ i zaproszonych gości. Między innymi byli JE. prof. Stanisław Tarnowski, kurator prof. Hoyer i w. i. Posiedzenie zagaił prof. Miodoński, dawny prezes „Kółka“, kreśląc cele i zadanie filologa Polaka. Przemawiali dalej prof. dr. Morawski, obecny prezes „Kółka“ prof. Piotrowicz, p. Staśko imieniem „Czytelni akademickiej“, założyciel i pierwszy prezes „Kółka“ bar. Richthoffen, dalej prof. Stach i prof. Chodaczek, który wygłosił odczyt na temat „Stosunek Lukiana do Rzymu“.

Wieczór odbyło się w sali teatru miejskiego uroczyste przedstawienie, na którem członkowie akademickiego Koła artyst. miłośników dramatu klasycznego odegrali udatnie komedyę Arystofanesa p. t. „Osy“.

Na zakończenie uroczystego dnia odbyło się w sali hotelu pod „Różą“ zebranie towarzyskie obecnych i byłych członków „Kółka“ i wspólna uczta przy udziale wielu profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego i zaproszonych gości.

Dar Sokolstwa na pamiątkę Grunwaldu.

Na zbliżający się obchód rocznicy grunwaldzkiej przeznaczyło Sokolstwo polskie wspaniały i prześliczny dar w formie wielkiej, artystycznie wykonanej plakiety. W czasie uroczystego pochodu w Krakowie, poniesie ją Sokolstwo na Wawel i złoży na grobie Króla-Zwycięscy. O ile będzie możliwe, plakieta ta pozostanie na grobie, jeśli zaś nie, przeniesie się ją następnie do Muzeum narodowego, gdzie zostanie przechowaną.



Wyzyskiwanie emigrantów: Ajent emigracyjny Kulischower.

Plakieta grunwaldzka Sokolstwa jest prawdziwem dziełem sztuki, wyróżniającem się dodatnio zarówno pomysłem, jak wykonaniem. Szczyt emblematów zajmuje korona Jagiellońska, poniżej tarcza herbowa z Orłem i Pogonią i trzema kolumnami, które — jak wiadomo — stanowią herb domu Jagiellonów; tarcza ta opiera się na mieczu koronacyjnym, berle i dwu żelaznych mieczach, przysłanych Jagielle przez Wielkiego Mistrza, otoczonych liśćmi laurowymi i wstęgami z napisem: „Pogromcy Krzyżaków — Sokolstwo polskie 1910 r.“.

Całość, wykonana wedle projektu artysty-malarza prof. Tadeusza Rybkowskiego, mimo nagromadzenia wielu i to różnorodnych szczegółów, jest zgrupowana ogromnie harmonijnie i stylowo, wywiera też wrażenie bardzo duże, a dodatnie. Prócz



Jubileusz „Kółka filologicznego“: Członkowie Kółka wraz z profesorami i gośćmi, po uroczystości jubileuszowej. Od lewej ku prawej w pierwszym rzędzie siędzą Pp.: Bogucki, Niemiec, Gąsiorowski, br. Richthoffen, prof. Creuzenach, prof. Sternbach, prof. Morawski, JE. prof. Tarnowski, prof. Miodoński, prof. Bieńkowski, prof. Rozwadowski, dr. Nitsch, dziekan Hoyer, dyrektor Pardyak, r. Służewski.

autora projektu zasługuje na uznanie pracownia bronzownicza p. S. Knurzyla, gdzie plakietę Sokolstwa wykonano.

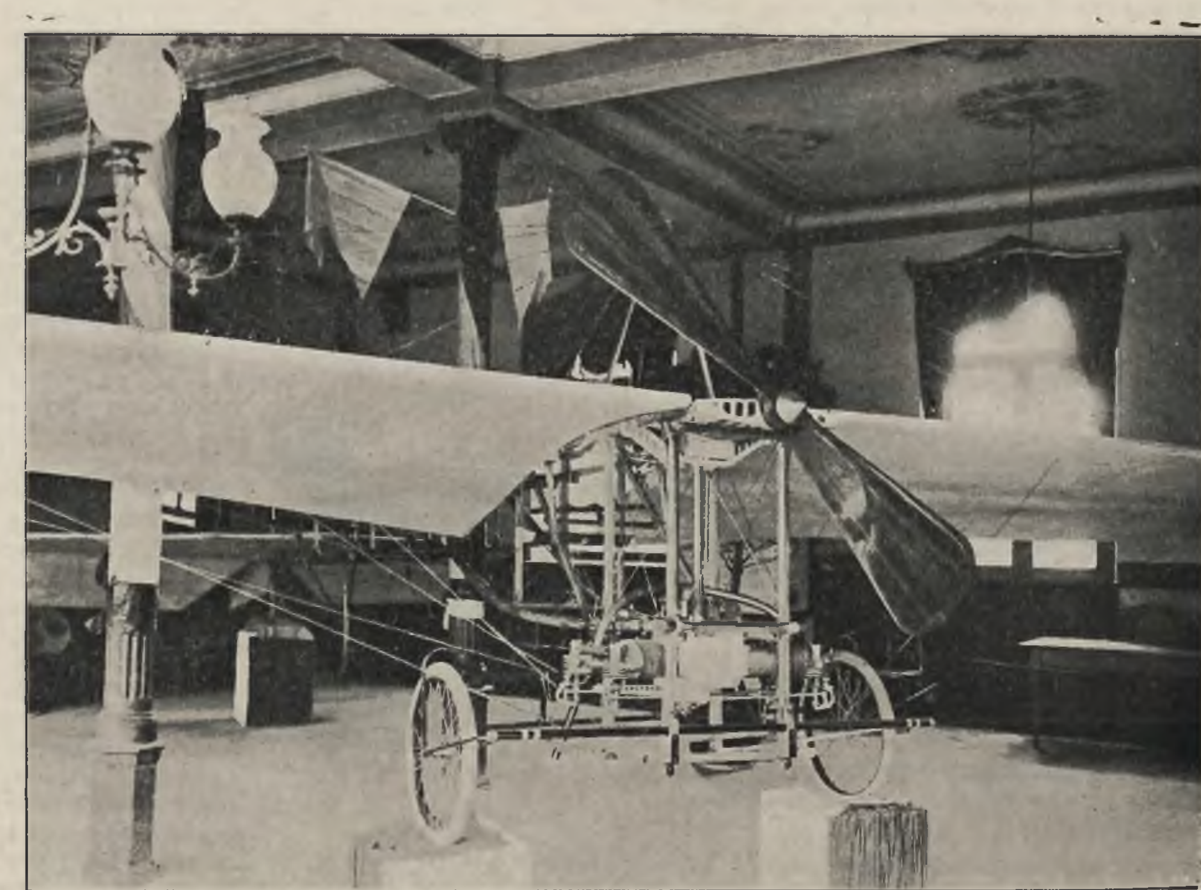


Wyzyskiwanie emigrantów: Koncepista dyrekcyi policyi we Lwowie Dyonizy Bihun.

Wyzyskiwanie emigrantów.

Smutna jest dola tych biedaków z naszego kraju, których nędza i głód pcha do obcych krajów lub za Ocean. Mimo ukochania ziemi ojczystej, mimo przywiązania do niej, muszą rozstać się ze wszystkiem, co im najdroższe, a szukać szczęścia wśród obcych, na obcej ziemi, w nieznanych warunkach i stosunkach. A już w drodze, zanim się dostaną do wybranej miejscowości, ileż to kłopotów, ileż trosk, ile niebezpieczeństwa czeka ich, na jakie trudności, na jaki wyzysk są narażeni! Bezradny na obczyźnie, nie władający obcym językiem, wpadają najczęściej w sieci, zastawione przez brudnych wyzyskiwaczy, ofiarowujących im w roli agentów swą pomoc, a czyhających na ograbienie biedaków.

A dzieje się to nietylko po za granicami kraju, ale już w Galicyi. Wszak niejednokrotnie czyta się w dziennikach o wykryciu przez policyę najrozmaitszych oszustw i matactw, popełnianych przez wszelakiego rodzaju ajentów emigracyjnych, przez te prawdziwe pijawki chłopskie. Wykryte nadużycia stanowią jednak drobniuchną część tych wszystkich, których ofiarą padają emigranci, a które uchodzą oka władz.



Awiatyka w Krakowie: Aeroplan konstrukcyi pp. Rozuma i Bechenego, wystawiony w sali hotelu Kleina.

Najgorzej zaś jest wówczas, gdy taki oszust, taka hyena emigracyjna cieszy się poparciem władz bezpieczeństwa, gdy ufa w ich protekcyę, gdyż z tem większą protekcyą, gdyż z tem większą śmiałością wyzyskują swe ofiary i z całą bezwzględnością obdzierają z grosza.

A taki właśnie wypadek zaszedł w ostatnich czasach w Jarosławiu. Operował tam już od dawna agent Austro-Amerykany, niejaki Kulischower, dopuszczając się na przejeżdżających przez Jarosław z wielu powiatów wschodnio-północnej Galicyi emigrantach niesłychanego wyzysku i zdzierstw. Powinęła mu się jednak noga, a skargi na oszustwa i wyzysk spowodowały wreszcie starostwo, iż wdało się w sprawki Kulischowera, a znalazłszy w toku dochodzeń mnóstwo obciążającego materyału dowodowego przeciw wspomnianemu agentowi, oddało sprawę prokuratoryi państwa, która niezwłocznie poleciła go aresztować.

Najsmutniejszą stroną w aferze Kulischowera stanowi to, że wplątany jest w nią koncepista policyi lwowskiej, Dyonizy Bihun, przydzielony do starostwa w Jarosławiu. Znający sprawę bardzo dokładnie opowiadają, że koncepista Bihun tolerował nadużycia Kulischowera, a nawet, jak ogłasza jedno z pism jarosławskich, otaczał go opieką i udzielał poparcia jego machinacyom.



Sezon w Kairo: Kontrast typów europejskich i wschodnich na jednej z pryncypalnych ulic Kairo.

Stosunki koncepist Bihuna z Kulischowerem wyszły na jaw, to też starosta jarosławski zawiesił Bihuna w urzędowaniu.

Awiatyka w Krakowie.

Kraków nie może się skarżyć na brak nowości w dziedzinie awiatyki. Dotychczas mamy zapowiedź dwóch wzlotów w Krakowie, a według ostatnich wiadomości ma jeszcze w najbliższym czasie Le Grand urządzić swój wzlot w Krakowie.

Również i pod wrględem wynalazków awiatycznych Kraków w ostatnich czasach może się poszczycić paru modelami konstrukcyi Krakowian. Przed paru miesiącami wystąpili pierwsi z pomysłem aeoroplanu własnej i oryginalnej konstrukcyi bracia Schindlerowie, których model został nader przychylnie przez fachowców przyjętym i ocenionym. Podczas gdy pp. Schindlerowie swój aeroplan budują w Wiener-Neustadt w Mercedes Daimler-Werke, w Krakowie trzej inni konstruktorzy pracowali nad wybudowaniem latawców własnej konstrukcyi, przy pomocy materyału, którym na miejscu rozporządzali. Byli to pp. Rozum i Bechene, współpracownicy firmy Rudawski i Ska i p. Balouska. Pierwsi autorzy i wykonawcy aeroplanu, wystawionego obecnie w sali hotelu Kleina, gotowi są już z całą konstrukcyą i w najbliższym czasie mają rozpocząć próbne wzloty w okolicy Krakowa.

Praca nad budową aeroplanu, zbliżonego konstrukcyą do typu jednopłaszczyznowego Blèriota, trwała z górą pół roku. Pewne części składowe, jak n. p. motor, są w typie pp. Rozuma i Bechenego inaczej rozmieszczone. Przez poziome ustawienie motoru spodziewają się konstruktorzy uzyskać większą niż u Blèriota stabilizacyę longinalną.

O ile aparat ten okaże się zdolnym do latania, pokażą dopiero najbliższe próby. Publiczność krakowska z zaciekawieniem oczekuje na pierwsze wzloty próbne, których dokonać ma p. Rozum i życzy konstruktorom powodzenia dalszej pracy nad rozwojem awiatyki w Polsce.

Sezon w Kairo.

Stolica Egiptu Kairo, należy nie tylko do największych i najruchliwszych miast handlowych Afryki, ale jest także jednem z najgłośniejszych nie tylko w Europie ale i w całym świecie miejsc klimatycznych. Łagodny klimat sprawia, że do Kairo zjeżdżają od dawna, szczególnie w niesiącach zimowych, podczas których temperatura najniższa wynosi + 12° C., piersiowo chorzy z całego świata, a nie brak i takich, którzy cały rok pozostają w lecznicach tamtejszych, bo nawet najwyższa temperatura w lipcu nie wynosi więcej jak 30° C.

Z biegiem czasu Kairo jako klimatyka zatraca swój dawny charakter miasta leczniczego dla piersiowo chorych. Wspaniały klimat i z komfortem urządzone hotele i wille, ściągają tu zimą doborowe towarzystwo z najwyższych i najbogatszych sfer całego świata, a ruch turystyczny, dzięki opiece rządu angielskiego, wzmaga się z roku na rok.

To też w sezonie ulice Kaira szczególny przedstawiają widok. Obok typów arabskich, tureckich, koptyjskich i innych ludów wschodnich, spotyka si na ulicach elegantki i elegantów europejskich, damy, ubrane według ostatnich wzorów mody paryskiej, nie wyłączając chanteclerowskiej.

Illustracya nasza przedstawia właśnie taki zbiór kontrastów wschodnich i europejskich na jednej z ulic w Kairo.



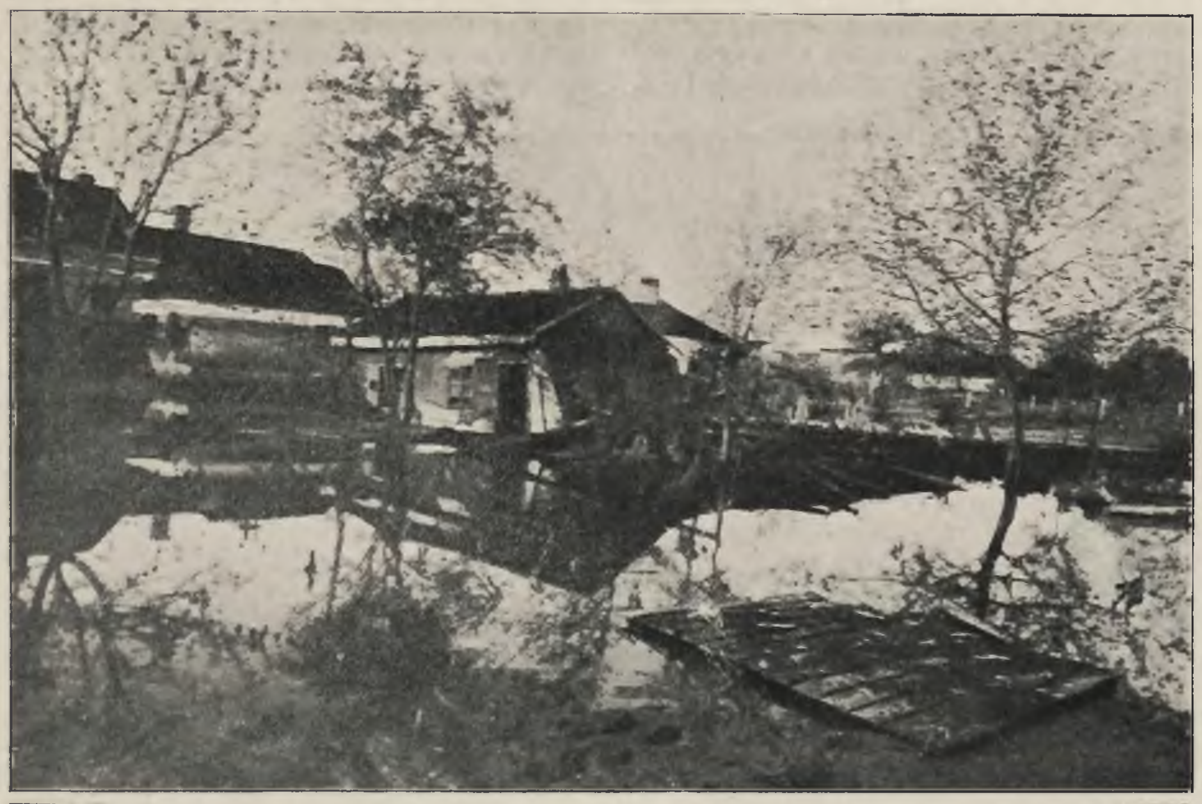
Fot. Müllner János, Budapeszt.
Powódź w Serbii: Domy nad brzegiem Leptenicy po wylewie.

Powódź w Serbii.

Jeszcze Serbia nie zdołała się otrząść z przesilenia politycznego, które obciążyło budżet serbski na długie lata a na ludność nałożyło olbrzymie ciężary w formie zwiększonych podatków, a oto znowu na kraj ten ekonomicznie słaby i nie rozwinięty, spadła straszna klęska, która według pobieżnego o-



Fot. Müllner János, Budapeszt.
Powódź w Serbii: Domy w Kragujewacu, zniszczone przez wodę.



Powódź w Serbii: Zalane ogrody na przedmieściach Kragujewacu.



Operacye wojenne w Albanii: Nowy wódz armii tureckiej w Albanii, Dżawid basza.

szacowania wyrządziła szkody na sumę przynajmniej kilku, jeśli nie kilkunastu milionów.

Przed kilkunastu mianowicie dniami spadła na okolice środkowej Serbii straszna klęska powodzi. Nad miastem Kragujewacem nastąpiło oberwanie się chmury, skutkiem czego rzeka Laptenica wezbrała tak szybko, że zanim spostrzeżono grożące niebezpieczeństwo, straciło życie w nurtach wezbranej gwałtownie rzeki 10 ludzi. Woda zalała znaczną część Kragujewacu, podmyła tor kolei Lapono-Kragujewac i Lapono-Jagodina, tak że musiano zatrzymać na dłuższy czas ruch pociągów. Oryentalny pociąg ekspresowy z Paryża i pociąg pospieszny z Wiednia nie mogły ruszyć w dalszą drogę z powodu przerwania toru przez wodę w licznych miejscach. Zniszczenie torów jest tak wielkie, że nie można nawet powiedzieć, kiedy ruch kolejowy będzie mógł być przywrócony.

Najwięcej wskutek wylewów ucierpiało miasto Kragujewac, woda w ulicach sięgała wysokości kilku metrów a niektóre domy parterowe stały z dachami pod wodą. Niespodziewane oberwanie się chmury i niespodziewany zalew, zniszczył wszystkie zasiewy w środkowej Serbii, tak że zniszczonej i zrujnowanej ludności wiejskiej w najbliższym czasie grozi klęska głodowa.

Katastrofa ta wywołała nietylko w całej Serbii ale i poza granicami nieszczęśliwego kraju nadzwyczaj przykre wrażenie. Dotąd wydobyto z topieli i znaleziono na polach z górą 300 zwłok. Tak strasznej w skutkach powodzi, nietylko w Serbii ale i w Europie najstarsi ludzie nie pamiętają.

Obok zamieszczamy szereg oryginalnych zdjęć z Kragujewacu i wiosek nad Laptenicą położonych, dających wyobrażenie o rozmiarach powodzi.



Powódź w Serbii: Zniszczone na przedmieściach Kragujewacu domy, ze śladami wysokości wezbranej wody.



Powódź w Serbii: Ulica Laptenicka w Kragujewacu, po wylewie.

Operacye wojenne w Albanii.

Powstanie w Albanii przyjęło dla Turcyi zwrot wcale niepomyślny. Lekceważenie przez dotychczasowego wodza armii tureckiej, Torghut Szefketa baszę operacyi powstańców albańskich, postawiło armię turecką w sytuacyi beznadziejnej, albowiem Albańczycy w sile 10.000 ludzi zajęli jedyny dostęp do Albanii, a mianowicie wąwóz pod Kaczanikiem. Przez wąwóz ten prowadzi tor kolejowy z Ueküb do Mitrowicy. Po obu stronach wąwozu wznoszą się na parę tysięcy metrów wysokie, skaliste i spadziste góry, a obsadziwszy oba końce wąwozu, Albańczycy są panami sytuacyi i mogą zatrzymać każdy pociąg zmierzający z południa na północ lub z północy na południe. Poprzecinawszy druty telegraficzne i telefoniczne, odcięli całą Albanię od reszty Turcyi i całego świata a na wypędzenie ich z naturalnych warownych pozycyi potrzeba nie jednej ale kilku armii.

Winę tej rozpaczliwej sytuacyi, w jakiej znalazła się armia turecka, ponosi wyłącznie Torghut Szefket basza. Rząd turecki widząc, że z każdym dniem kadry powstańców się zwiększają, że dziś już conajmniej 40 000 Albańczyków stoi pod bronią w wąwozie pod Kaczanikiem, zdecydował się odwołać Szefket baszę, a dowództwo naczelne oddać w ręce Dżawida baszy, znanego ze swej lwiej odwagi i męstwa a zarazem ze swego okrucieństwa, z jakiem występował zawsze w Albanii przeciw buntującym się góralom.

K. A. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

16

— Tak naprzykład spytała mnie pewnego razu, jak sądzę, czy może jeszcze nauczyć sięgrać na fortepianie. Koniec końców wywnioskowałam z tego wszystkiego, iż przyrzeczono jej wielką sumę pieniędzy jeżeli zachowa tajemnicę i nie zdradzi jej nikomu i to wydawało się jej tak ponętnem, iż nie zwracała wcale uwagi na ciemną stronę tej sprawy. W ten tylko jedynie sposób mogłam wytłómaczyć sobie jej gorące pragnienie dopełnienia swego wykształcenia, a także pojąć jej radosny uśmiech, jaki nieraz malował się na jej twarzy, gdy sądziła, że nikt na nią nie patrzy. Z tych właśnie względów tak bardzo zdumiałam się, dowiedziawszy się o jej śmierci. Na żaden sposób nie mogłam sobie przedstawić, aby ta młoda, pełna życia dziewczyna mogła tak strasznie skończyć. Lecz...

— Przepraszam na chwilę — przerwał agent — pani zdaje się mówiła, że ona zaczęła się uczyć czytać i pisać, czy nie tak?

— Tak; właściwie mówiąc, chciała się wydoskonalić w tem, gdyż umiała już czytać drukowane litery i pisać, choć bardzo niekształtnie i niewyraźnie.

Grys tak silnie uszczypnął mnie w rękę, iż omal nie krzyknąłem.

— Umiała już, gdy zjawiła się u pani? W takim razie Dżen doskonaliła się dalej w tym względzie przy pomocy pani. Pani uczyła ją czytać i pisać?

— Tak, dawałam jej do przepisywania i...

— Nie ma pani przypadkiem jakich resztek tego, co ona pisała tutaj? — zapytał Grys; — chciałbym zobaczyć jej ćwiczenia.

— Nie wiem, czy co znajdę jeszcze; zwykle niszczyłam zaraz zapisany przez nią papier, gdyż z tego robiły się tylko śmieci w pokoju. Zresztą pójdę poszukać.

— Proszę bardzo — rzekł Grys i zaraz dodał: — pani pozwoli pójść mi razem z sobą, chciałbym popatrzeć na nią.

I nie zwracając uwagi na swe chore nogi, wstał i poszedł za gospodynią; przechodząc koło mnie, szepnął: „Sprawa staje się nadzwyczaj ciekawą“.

Minęło dziesięć minut, które wydały mi się całą wiecznością; wreszcie wrócili oboje z całą paką papierów.

— Oto wszystko, cośmy znaleźli w całym domu, podnosiliśmy każdy znaleziony kawałek papieru, na którym były wypisane następujące zdania: „Piękność mija szybko“, „Zły przykład jest zaraźliwy“ i t. p. Te same zdania były pisane innyn charakterem. — Jak się to panu podoba? — zapytał mnie.

— Według mnie, jest to napisane bardzo wyraźnie i ładnie.

— To są właśnie ostatnie ćwiczenia pisane ręką Dżen. Przyzna pan, że są one bardzo mało podobne do tych gryzmołów, które widzieliśmy w liście znalezionym na górze?

— Rzeczywiście!

— Pani Belden mówi, że zdania pisała Dżen już tydzień temu. Bardzo była dumna z nich i chwaliła się, że może już tak dobrze pisać. To, co jest napisane na kawałku papieru, który pan ma w kieszeni — szepnął mi do ucha — musiała pisać chyba już bardzo dawno, o ile wogóle ona to pisała.

Potem dodał głośno:

— Obejrzyjmy jednak dobrze papier, na którym zwykle pisała.

Przy słowach tych rozłożył przedemną papiery, znalezione w domu; różniły one się najzupełniej od tego, na którym był napisany pośmiertny lis niebożczki.

— Innego papieru niema w całym domu — znajmił mi Grys.

— Czy rzeczywiście tak? — zapytałem pani Belden, patrzącej na nas ze zdziwieniem. — Czy nie miała pani przypadkiem innego gatunku papieru, którego Dżen mogłaby użyć do pisania?

— Nie, mam tylko taki papier, a zresztą w pokoju Dżen leżała cała masa takiego samego papieru, po cóż więc miałaby szukać innego?

— Mogło jej przyjść coś do głowy? — rzełem i pokazując czystą stronę listu, który trzymłem w ręce, zapytałem:

— A proszę mi powiedzieć, czy przypadkiem nie miała pani gdzie u siebie w domu takiego papiru? Niech pani obejrzy dobrze te papier, jest to nadzwyczaj dla nas ważne.

— Mogę panu powiedzieć z wszelką pewnością — odparła — iż nigdy nie miałam u siebie takiego papieru.

Grys poszedł ku mnie, wziął papier z mych rąk i szepnął:

— Co pan teraz o tem myśli? Czy według pana Dżen napisała ten list?

Kiwnąłem przecząco głową, nie mogłem bowiem mieć najmniejszych wątpliwości, że Grys ma racyę.

— Jeżeli pisała to nie Dżen, to któż w takim razie? — zapytałem go również szeptem — i w jaki sposób list ten mógł znaleść się w domu i w dodatku pod zwłokami nieszczęśliwej?

— To właśnie musimy zaraz wyjaśnić.

Potem zaczął znowu badać biedną wdowę; z badania tego okazało się, iż Dżen nie tylko nie mogła przynieść z sobą tego listu, lecz nie mogła go nawet otrzymać później od kogokolwiek.

Jeżeli będziemy uważali, że pani Belden mówi prawdę, a nie mielibyśmy żadnych podstaw do podejrzewania prawdziwości jej słów, to wobec tego tajemnica ta stawała się najzupełniej nieprzeniknioną i traciłem już wszelką nadzieję jej rozwikłania, gdy naraz Grys spojrzał znacząco na mnie i rzekł:

— Pani przecież otrzymała wczoraj list od Mary Lavenfort?

— Tak.

— Czy ten? — zapytał agent, wskazując na list, który mu podałem.

— Ten sam.

— Niech mi pani odpowie jeszcze na jedno pytanie: czy w kopercie, w której był ten list, nie było nic więcej? Nie było tam ani jednego słowa adresowanego do Dżen?

— Nie — odpowiedziała — w moim liście nic nie było, lecz tego samego dnia i Dżen otrzymała list z poczty.

— Dżen otrzymała list? z poczty? — zawołaliśmy jednocześnie.

— Tak; list był adresowany nie do niej, lecz do mnie, w rogu jednak koperty był znak o którym ja tylko wiedziałam i...

— Boże mój — zawołałem — gdzież jest ten list? Dlaczego pani przedtem nie powiedziała tego? Dlaczego pani zmusiła nas do błąkania się w ciemnościach, kiedy list ten mógł odrazu wprowadzić nas na właściwy ślad?

— Teraz dopiero przypomniałem sobie o tem, a nie mogłam wiedzieć, że to tak ważne dla panów?

— Lecz gdzież jest ten list, u pani?

— Nie — odrzekła — oddałam go jej i potem już jej nie widziałam.

— W takim razie musi być na górze; pójdę poszukać go — rzekłem i skierowałem się do drzwi.

— Nic pan tam nie znajdzie — rzekł Grys, zatrzymując mnie — obejrzałem wszystko na górze i znalazłem tylo trochę popiołu po spalonych papierach. Co ona, proszę pani, mogła właściwie spalić?

— Nie wiem... Chyba tylko ten list.

— W każdym razie ja jeszcze raz tam zajrzę — rzekłem i pospieszyłem na górę; w chwilę potem wróciłem, niosąc w rękach miednicę z popiołem. — Jeżeli to był ten list, który widziałem wczoraj u pani w ręce, to był on w żółtej kopercie?

— Tak jest.

— Popiół po żółtym papierze jest inny, niż po białym, możemy więc łatwo przekonać się — zauważył Grys. — Aha, list spaliła, lecz oto kawałek koperty. — Przy słowach tych podniósł do góry niewielki kawałek papieru.

— Nie rozumiem, po co te poszukiwania. Istotnie, list był adresowany do mnie, lecz ponieważ Dżen oczekiwała go, oddałam go więc jej, nie otwierając, zwłaszcza, iż umiała sama czytać.

— Czy była pani obecna, gdy go czytała?

— Nie, byłam bardzo zajęta; w chwili tej przyszedł właśnie do mnie pan, master Rymond, nie miałam więc czasu myśleć o Dżen. Oprócz tego zaniepokoił mnie bardzo list, jaki sama dostałam.

— Wieczorem jednak pytała jej pani zapewne o treść listu?

— Naturalnie; była jednak bardzo milcząca i nie chciała nawet przyznać się, że list ten jest od jej pani.

— Pani więc sądziła, że to jest list od Mary Lavenfort?

— Tak; przecież na kopercie był zrobiony umówiony znak, chociaż zresztą mógł go zrobić i Klawering — dodała zamyślona.

— Mówiła pani, że Dżen była wczoraj bardzo wesoła. Czy humor jej nie zepsuł się po tym liście?

— Zdaje mi się, że nie. Ja jednak byłam tak przejęta swoim listem, o którym mówił zapewne pan Rymond...

Grys kiwnął potwierdzająco głową.

— Wogóle byłam bardzo wczoraj zdenerwowana i nie mogłam wcale myśleć o Dżen, lecz...

Niech pani z łaski swej poczeka chwilkę — przerwał Grys i odprowadzając mnie na bok, rzekł szeptem: — Teraz musimy przypomnieć sobie odkrycia, jakich dokonał „Czuły węch“. Wtedy, gdy pan wychodził z domu i przedtem, zanim pani Belden mówiła z Dżen, podpatrzył on przez okno, jak Dżen robiła coś koło umywalni, a potem połknęła proszek, znajdujący się w papierku — zdaje się, że to wszystko?

— Tak, wszystko — odpowiedziałem.

Agent podszedł do pani Belden i zapytał:

— Co pani chciała mi jeszcze powiedzieć?

— Zanim położyłam się spać, przypomniałam sobie o Dżen i dlatego poszłam do jej pokoju, by zajrzeć do niej. Ponieważ jednak w pokoju było zupełnie ciemno i widocznie spała, wróciłam do siebie.

— I nie rozmawiała z nią pani wcale?

— Nie chciałam budzić jej.

— Nie zauważyła pani, w jakiej pozycyi leżała?

— Zdaje mi się, że na plecach.

W takim razie w takiej pozycyi, w jakiej znaleziono ją dzisiaj rano?

— Zdaje się, że tak.

— I to wszystko, co może nam pani powiedzieć o liście i tajemniczej śmierci Dżen?

— Tak wszystko.

— Proszę pani — rzekł agent, wstając — czy poznałaby pani charakter Klaweringa, gdyby pokazano pani jego pismo?

— Sądzę, że poznałabym.

— A również i charakter miss Lavenfort?

— Bezwarunkowo.

— Któż w takim razie adresował kopertę, przeznaczoną do oddania Dżen?

— Nie mogę odpowiedzieć na to stanowczo, pismo mogło być tak jego, jak i jej, zdaje mi się jednak...

— Co?

— Że było ono podobniejsze do pisma Mary, chociaż nie zupełnie.

Uśmiechając się znacząco, wziął Grys pośmiertny list Dżen i włożył go do koperty, w której go znaleziono.

— Czy pamięta pani format listu, jaki jej pani wręczyła? — zapytał.

— Owszem, był on bardzo duży.

— I gruby?

— Tak, tak gruby, i bardzo możliwe, że były tam dwa listy.

— Czy tak gruby, iż mógł się tam znajdować i ten papier? — zapytał agent, pokazując jej kopertę z listem Dżen.

— Bez wątpienia — potwierdziła pani Belden.

Oczy Grysa zaświeciły się radośnie; zwrócił się ku mnie i rzekł:

— Pan jeszcze ma wątpliwości co do tego, kto pisał to jej mniemane wyznanie?

— Co pan zamierza teraz czynić? — zapytałem zamiast odpowiedzi.

Wziął mnie pod rękę i poprowadził przez korytarz do jadalnego pokoju.

— Wrócę do Nowego Jorku, by badać dalej tę sprawę. Muszę wyśledzić, kto przysłał truciznę i kto napisał ten podłożony list.

— Lecz przyjdzie wkrótce sędzia śledczy i „Czuły węch“ — rzekłem — czyż pan nie poczeka na nich?

— Nie — odpowiedział — trzeba iść szybko po świeżych śladach; zwlekać w takiej sprawie nie można.

— Jeżeli się nie mylę, są już tutaj — rzekłem, słysząc w przedpokoju męskie kroki.

— Tak, to oni — potwierdził agent i poszedł na ich spotkanie.

Sędzia śledczy okazał się bardzo roztropnym człowiekiem; pojął odrazu, iż master Grys może mu oddać w tym wypadku nieocenione usługi i dlatego nie mieszając się wcale do jego rozporządzeń, pozostawił mu całą swobodę w działaniu, a sam zajął się zbadaniem zwłok i pokoju otrutej Dżen. Dzięki temu Grys mógł odjechać już następnym pociągiem, ja zaś wróciłem dopiero o dziesiątej godzinie wieczorem.

XXI.

Przed odjazdem swym Grys wtajemniczył mnie w swe plany, tak iż wiedziałem już, w jakim kierunku poprowadzi teraz śledztwo.

— Jeżeli dowiemy się z jakiego kantoru pochodzi papier, na którym napisano wyznanie Dżen — mówił mi agent — to będziemy wiedzieli zarazem, kto jest zabójcą nieszczęśliwego Lavenforta i tej biednej dziewczyny.

Następnego dnia udałem się wprost do niego i zastałem go siedzącego przy stole; przed nim leżała damska teka z papierami. Ku zdziwieniu memu oznajmił mi, że teczka ta należy do Eleonory Lavenfort.

— Jakto — zawołałem — i pan dotychczas jeszcze podejrzewa ją o udział w tem morderstwie?

— Nie, zawodowy jednak agent winien zbadać wszystko dokładnie i wtedy tylko może dojść do jakiegoś pomyślnego rezultatu. Powiem panu — mówił mi dalej — że przepatrzyłem nawet wszystkie rzeczy Klaweringa, chociaż on w żadnym razie nie mógł pisać tego listu. Śladów należy szukać nie tylko tam, gdzie spodziewamy się je znaleść, lecz i tam, gdzie może się zdawać, że ich wcale nie ma. Ja, ma się rozumieć, nie miałem najmniejszej nadziei, że natrafię na co w tej teczce, mimo to winienem był zbadać ją szczegółowo.

— Widział pan dzisiaj rano miss Eleonorę?

— Naturalnie, w przeciwnym razie nie otrzymałbym tego, co chciałem. Okazała się bardzo uprzejmą i zaraz dała mi tę tekę; sądziła zapewne, że potrzebuję jej dlatego, by przekonać się, czy niema w niej tego papieru, o którym tak często wspominano na początku śledztwa. Lecz gdyby nawet wiedziała o istotnej przyczynie mej prośby, to i tak mogła mi ją dać zupełnie spokojnie, niema w niej bowiem nic podejrzanego.

— Czy miss Eleonora jest zdrowa? — zapytałem, nie mogąc ukryć swego niepokoju — czy słyszała już o niespodziewanej śmierci Dżen?

— Tak i bardzo to ją przejęło; zdaje mi się nawet, że podejrzenia jej względem kuzynki bardziej jeszcze wzrosły. Niech pan jednak poczeka — rzekł — przejrzyjmy naprzód to — i przy słowach tych wziął do ręki paczkę papieru.

— Tę plikę papieru znalazłem w szufladzie biurka, stojącego w bibliotece Lavenforta i jeżeli się nie mylę, to znajdziemy tutaj to, czego szukamy.

— Lecz...

— Papier, na którym został napisany tamten list, jest zupełnie innego formatu, niż ten, to pan chce zapewne powiedzieć — przerwał mi agent. — Bardzo dobrze wiem o tem, niech pan jednak nie zapomina, że papier tamten był obcięty, a teraz porównajmy gatunek papieru.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni list, przyłożył go do jednego z arkuszy i podał mi je. Dosyć było jednego spojrzenia, by przekonać się, że oba papiery są jednego koloru.

— Niech pan spojrzy pod światło.

— Zrobiłem co mi powiedział — jeden i drugi arkusz były tego samego gatunku.

— Teraz zwróćmy uwagę na liniowanie — mówił dalej Grys i oba papiery położył koło siebie tak, iż dotykały się brzegami. Linie jednego arkusza zgadzały się najzupełniej z liniami drugiego. Nie było nad czem dłużej się zastanawiać.

— Byłem przekonany o tem — rzekł agent z tryumfem. — Natychmiast po otworzeniu szuflady tego biurka i zobaczeniu papieru, odrazu spostrzegłem, że jest to ten papier, którego szukamy.

— Czyż pan sądzi, że już wszelkie wątpliwości zostały przez to usunięte? — zapytałem — przecież to jest najzwyklejszy papier, jaki można znaleść w każdym domu.

— Przeciwnie, podobnego formatu niema już wcale w handlach; w każdym razie Lavenfort używał go do swej pracy, inaczej bowiem nie znajdowałby się w jego bibliotece. Jeli jednak mimo to ma pan jeszcze jakie wątpliwości, to zobaczymy, czy nie znajdą się jeszcze inne dowody — dodał i wstając, podszedł do okna, gdzie zaczął badać szczegółowo ten papier. Widocznie znalazł wreszcie to, czego szukał, wrócił bowiem do mnie i pokazał, że jedna z linij jest cokolwiek grubsza, a druga cieńsza od wszystkich innych.

— Podobne braki spotyka się zazwyczaj w całej paczce i jeżeli znajdziemy tę librę, z której wyjęto arkusz na ten list, to przypuszczam, że już nie będzie miał pan żadnych wątpliwości.

Wziął librę, leżącą na stole na wierzchu i zaczął ją przeglądać, wszystkie jednak arkusze były bez najmniejszych braków.

— Czyżbym się omylił tym razem? — szepnął do siebie.

Następująca libra okazała się również bez żadnych defektów. Widać było, iż już zaczyna tracić cierpliwość, brał jedną librę po drugiej i zaczął liczyć, czy przypadkiem w jakiej nie brakuje arkusza. I ja również zająłem się liczeniem arkuszy, poszukiwania jednak nasze przez dłuższy czas były bezowocne; naraz zawołałem wzruszony:

— W tej librze jest tylko dwadzieścia trzy arkusze.



— Niech pan spojrzy pod światło.

Przeliczyliśmy ją dwa razy; okazało się, że miałem słuszność, ponadto na każdym arkuszu jedna linijka była grubsza i jedna cieńsza.

— Co pan powie na to? — zapytał tryumfująco Grys.

— Zdaje mi się, że nawet niewierny Tomasz uwierzyłby teraz — odpowiedziałem.

— Powodzenie zaczyna dopisywać — mówił zadowolony Grys — dowody łączą się teraz w jeden nieprzerwany łańcuch. Jakaż to jednak niezwykła kobieta! — zawołał z prawdziwym zachwytem; — wybrać ostatni arkusz z całej paki papieru, zmienić jego format, naśladować charakter pisma niewykształconej dziewczyny — czyż to wszystko nie jest wspaniałe?

Stałem w milczeniu; nastrój mój posępniał z każdą chwilą.

— W położeniu, w jakiem się znajdowała, nie mogła zrobić nic mądrzejszego, to jednak, że Dżen tak się wprawiła w pisaniu przez ten czas, zawiodło jej rachuby i zgubiło ją ostatecznie.

— Master Grys — przerwałem mu, nie mogąc słuchać dalszych jego wywodów na ten temat — widział się pan dzisiaj rano z Mary Lavenfort?

— Nie, wcale nawet tego nie chciałem. Wątpię też, czy ona wie wogóle o tem, że byłem u niej w domu. Jeżeli pokojówka nie jest w zgodzie z panią, jest to wygrana agenta: przekupiłem Molly i mogłem przez to obejść się bez pomocy pani.

— Cóż pan zamierza teraz czynić? — zapytałem po krótkiem milczeniu. — Doprowadził pan badanie do końca i może teraz pan być zadowolonym z rezultatów. Nastaje obecnie chwila stanowczego działania, czyż nie tak?

— Zobaczymy jeszcze — odparł mi, wyjmując z biurka żelazne pudełko z dokumentami, których nie mieliśmy jeszcze czasu dobrze zbadać — naprzód zapoznamy się z treścią tych papierów; może one przyniosą nam coś nowego.

Wziął oddzielne kartki, wyrwane z dziennika Eleonory i zaczął je czytać.

Dopóki był tem zajęty, przeglądałem resztę papierów. Pani Belden mówiła prawdę; w pudełku znajdowało się kilka listów Klaweringa i akt ślubny Mary. Gdym je czytał, usłyszałem naraz lekki okrzyk Grysa.

— Co pan znalazł? — zapytałem.

— Niech pan przeczyta sam — rzekł, podając mi wyrwane kartki; — na początku jest powtórzenie tego, co nam opowiadała już pani Belden, przedstawione jednak z innego punktu widzenia, dalej zaś coś takiego, co nam objaśnia pobudki morderstwa z nowej strony, o której dotychczas nic nie wiedzieliśmy. Lepiej jednak zacząć od początku, mam nadzieję, że się pan nie znudzi.

Nudzić się?! Czyż myśli i uczucia Eleonory w tak ciężkich dla niej chwilach mogły być dla mnie nudne? Ułożyłem kartki po porządku i zacząłem je czytać. Tutaj przytaczam te urywki z dziennika, które miały największe dla nas znaczenie:

„18 lipca. — Stryj przyjechał dzisiaj niespodziewanie pospiesznym pociągiem, przyszedł do mego pokoju, pocałował mnie i spytał o Mary.

Opuściłam głowę i zdołałam tylko wyszeptać, że Mary znajduje się w swym buduarze. Udał się zaraz do niej i zastał ją przy tualecie. Siedziała pogrążona w głębokiem zamyśleniu i obracała w palcach zaręczynowy pierścionek Klaweringa. Nie wiem, co zaszło potem, w każdym razie była tam burzliwa scena. Zapewne też z tego względu Mary dzisiaj rano nie wyszła ze swego pokoju, stryj zaś był bardzo zmartwiony i zakłopotany.

Po obiedzie. — Nieszczęśliwa nasza rodzina; stryj nie tylko nie zgadza się na uznanie Klaweringa za narzeczonego, lecz żąda nawet, aby Mary odesłała mu natychmiast pierścionek i cofnęła swe słowo, w przeciwnym bowiem razie pozbawi ją względów, któremi ją dotychczas obdarzał. Jak tylko się o tem dowiedziałam, pospieszyłam zaraz do stryja i zaczęłam go nakłaniać, aby z powodu na niczem nie opartych uprzedzeń, nie burzył szczęścia ludzi jakby stworzonych dla siebie. Nie pozwolił mi nawet mówić. — „Ty, moja bezinteresowna Eleonoro, winnaś być ostatnią z lic[illegible]ych wszystkich, którzy gotowi są do popiera[illegible] małżeństwa“ — rzekł mi. Spytałam go zd[illegible] co chce przez to powiedzieć. — „Ponieważ w danym wypadku działasz najzupełniej na szkodę Mary“ — odpowiedział. — Jeszcze bardziej byłam tem zdumiona i poprosiłam stryja, by mówił jaśniej — „Chodzi o to — rzekł — że jeżeli Mary sprzeciwi się mej woli i wyjdzie za tego Anglika, pozbawię ją spadku, zmieniając testament na twoją korzyść“. — Przy słowach tych odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z pokoju!

— Cóż pan teraz powie na to? — zawołał Grys — Teraz pan rozumie, dlaczego Mary potrzebna była śmierć Lawenforta? Starzec zagroził jej, że pozbawi ją spadku, a w jakiś czas potem dowiedział się, że go nie usłuchała i w dalszym ciągu utrzymuje stosunki z Klaweringiem. Wtedy powtórzył jej swą groźbę i tem podpisał na siebie wyrok śmierci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sezon footbalowy w Krakowie.

W roku bieżącym poszły krakowskie kluby sportowe, tak „Cracovia“ jak i „Wisła“, śladem zagranicznych organizacyj sportowych i zainicyowały wiosenny sezon bardzo wcześnie. Już w połowie marca „Wisła“ wystąpiła z kilku matchami z drużynami obcemi, a z początkiem kwietnia również i „Cracovia“ rozpoczęła swój sezon, o którym można powiedzieć, że pod względem doboru drużyn będzie



Nowy dyrektor policyi we Lwowie: Ustępujący dyrektor, radca rządu, Wilhelm Schechtel.

bezwarunkowo rekordem dla innych klubów galicyjskich. W programie wiosennych zawodów tego klubu znajdujemy spotkania z drużynami pierwszorzędnemi w Austro-Węgrzech i mającemi dobrze zasłużony rozgłos światowy. Na pierwsze miejsce wybijają się zapowiedziane na Zielone Święta dwa matche z wiedeńskimi „Krykieterami“, match w dniu 3 maja z pierwszorzędną drużyną budapeszteńską „Terekvös Sportegylet“ i match ze „Slavią“ morawską. Ten ostatni match, odbyty w niedzielę dnia 24 kwietnia, stanowił dla Krakowa prawdziwą sensacyę sportową. Z górą 4 tysiące osób przypatrywało się tym zawodom z pierwszorzędnym klubem czeskim na Morawach, ustępującym ledwie „Slavii“ praskiej. Poprzednie zwycięstwa „Cracovii“ nad „Ostrawskim Teamem“ (10 : 0) i nad klubem niemieckim z Bielska (8 : 0) dawały rękojmię, że i wobec „Slavii“ berneńskiej godnie bronić będzie swych kolorów. Wobec faktycznej siły i pięknej gry gości czeskich, zwycięstwo „Cracovii“ nie było jednak zbyt pewne. Przebieg zawodów i zwycięstwo nad „Slavią“ w stosunku 8 : 2 udowodniły, że „Cracovia“ z każdym tygodniem gra lepiej i pewniej, że pozyskawszy nowych i dobrych graczy dla swej pierwszej drużyny, może śmiało potykać się z pierwszorzędnymi klubami zagranicznymi, byle tylko nie zaniechała, dufna w swe zwycięstwa, racyonalnego i tak koniecznego trainingu.

Goście czescy, których publiczność krakowska za ich piękną grę nagradzała hucznymi oklaskami, przywieźli na pamiątkę pierwszego matchu z „Cracovią“, pięknie haftowany proporzec, który prezes „Slavii“, prof. dr. Dworzak wręczył przed matchem do rąk prezesa „Cracovii“, prof. dr. Rozwadowskiego.

Po zawodach odbył się w salach restauracyi Starego teatru wspólny bankiet, w którym prócz członków obu klubów, wzięli udział liczni goście i przedstawiciele prasy krakowskiej.

Nowy dyrektor policyi we Lwowie.

Bardzo ważna i doniosła zmiana na jednem z najwyższych stanowisk urzędniczych we Lwowie, a przedewszystkiem na jednym z najbardziej odpowiedzialnych, nastąpiła tymi dniami. Ustąpił mianowicie dotychczasowy dyrektor policyi, radca Wilhelm Schechtel, a miejsce jego zajął radca dr. Józef Reinlender.

Zmiana to istotnie bardzo doniosła, a we Lwowie powitano ją z ogólnem zadowoleniem, od dawna bowiem odczuwano tam powszechnie potrzebę pewnego „odświeżenia“ stosunków. Od dawna też krążyły pogłoski o zamierzonem ustąpieniu dyrektora Schechtla. Ponawiały się one co kilka miesięcy, gdy tylko zaszła jakaś sprawa, która wywołała niezadowolenie z lwowskiej policyi. A było tych spraw sporo w ostatnich czasach. Pogłoski atoli o ustąpieniu dyrektora Schechtla nie sprawdzały się. Dopiero obecnie przyniosły dzienniki pozytywną wiadomość o złożeniu urzędowania przez dyrektora Schechtla w ręce radcy dr. Reinlendera, którego nominacya ma w najbliższych dniach nastąpić.

Nowy dyrektor policyi lwowskiej, jest człowiem młodym jeszcze, ale wysoce uzdolnionym urzędnikiem, pełnym energii, znającym doskonale stosunki lwowskie. Ogromnie uprzejmy i taktowny, lubiany też powszechnie wśród publiczności, z którą często się styka i wśród urzędników podwładnych, uzdrowi niewątpliwie stosunki policyjne we Lwowie.

Życzymy tego nowemu dyrektorowi policyi z całego serca.

Oryginalny atleta.

Wiadomo, że na szerokim świecie produkują się najrozmaitsi i najoryginalniejsi ludzie, którzy wyuczywszy się różnych sztuk, częstokroć i karkołomnych, w ten sposób zdobywają grosz na swe utrzymanie. Wszelkiego rodzaju kunszty atletyczne są zawsze atrakcyą każdego cyrku i varieté.

Jeden z bezsprzecznie najoryginalniejszych atle-



Nowy dyrektor policyi we Lwowie: Radca dr. Józef Reinlender.

tów produkował się tymi dniami w Berlinie. Jako specyalność swych produkcyi obrał język, który zdołał tak wyćwiczyć, że dziś z łatwością podnosi nim ciężar 25-kilowy. Oryginalny jest sposób podno-



Sezon footbalowy w Krakowie: Drużyna „Cracovii“ i „Slavii morawskiej“ (białe koszulki).

szenia ciężarów przez tego wschodniego atletę, zowiącego się Habu et Alti. Przed ośmiu laty wpadł on na pomysł przedziurawienia sobie języka, a otwór początkowo niewielki, zdołał z biegiem czasu tak rozszerzyć, że dziś może zań zaczepiać duży hak rzeźniczy. Na haku tym zawiesza sobie ciężar 25 kilowy i z łatwością go siłą udźwigu swego języka podnosi.

Jeszcze większą sensacyę produkcyi tego językowego atlety jest opór, jaki potrafi stawić dwom mężczyznom, ciągnącym go za łańcuch, przyczepiony do jego języka. Produkcyom tym przypatrują się tłumy publiczności, nie mogące się dość nadziwić sile języka niezwykłego atlety.

W sprawie konkursu o nagrodę sto koron.

Stosownie do ogłoszonej poprzednio zapowiedzi donosimy naszym P. T. Prenumeratom, ubiegającym się o nagrodę sto koron za największą ilość wyrazów utworzonych z głosek S, ł, o, w, a, c, k, i, iż w przepisanym terminie otrzymaliśmy siedmset dziewięćdziesiąt sześć (796) zgłoszeń.

Z powodu braku miejsca podajemy tylko nazwiska tych P. T. Prenumeratorów, którzy nadesłali więcej, niż pięćset dobrych wyrazów:

P. Szypulski Mieczysław, Kraków (około)	500
„ Górski Władysław, Warszawa	529
„ Gawlik Albin, Lwów	546
„ Maezuga Nikodem Józef, Przemyśl	666
„ Halkiewicz Eugeniusz, Rohatyn	692
„ Radoszewski Zygmunt, Kalisz	973
„ Kulesza Józef, Kraków	1063
„ Januszewski Jan, Kraków	1410
„ Gąsiorowski Jan, kraków	1482
„ Dziurzyński Ludwik, Podkamień (ponad)	1500
„ Sielecki Tytus, Wiedeń	1832
„ Leffler K. Ryszard, Lwów	2012

Nagrodę wobec tego otrzymał p. Leffler K. Ryszard, Lwów, któremu też nagrodę równocześnie wysyłamy.

Kronika tygodniowa.

(Maj. — Czy go oczekiwano? — Komeciane kłopoty. — Moje przygotowania z okazyi końca świata. — O chyżości komety. — Chwila przejścia ziemi przez jej ogon. — Co z tego wyniknie? — Co na to magistrat? — Powody pojawienia się komety. — Pierwszy maj w Krakowie. — Wybory w Poznańskiem. — Cesarz Wilhelm przyjacielem Polaków. — Zwrot w sprawie Hofrichtera. — Berliński tryumfator. — Aeroplany).

Piękny zielony i prawdziwie wiosenny maj, nieco jednak chłodny i deszczowy, rozpoczął swoje panowanie, a jednak, po raz zdaje się pierwszy od czasu stworzenia świata, a jak każdy przyzna i Wielkiego Krakowa, nikt do niego nie wzdychał i nikt nań nie czekał, bo astronomowie w tym właśnie miesiącu zapowiedzieli nam zagładę! Pisma codzienne całe szpalty poświęcają niebieskiemu włóczędze, który kiwa już światu swym ogonem, opisują go najdokładniej, zachęcają publiczność do obserwacyi i pocieszają, że tak fatalnych skutków, jak przewidują niektórzy, spotkanie ziemi z końcem ogona przecież mieć nie będzie, nie wiadomo bowiem, w jakiej formie spotkanie to nastąpi i czy przypadkiem już 6 maja, gdy ziemia znajdzie się na drodze komety, nie odczujemy jej wpływu.

Jedna z P. T. Czytelniczek, która pamięta poprzednią wizytę Halleya na naszym ziemskim padole, a było to, jak wiadomo, przed siedmdziesięciu laty, doniosła mi, iż spotkanie to nie będzie znów tak straszne, skoro bowiem przetrzymała owo epokowe zdarzenie, spodziewa się, że i z tego wyjdzie zwycięsko; radzi, aby nikt z nas nie tracił rezonu.

W każdym razie sądzę, że należy być przygotowanym na możliwą katastrofę i w tym celu sporządziłem już rozporządzenie ostatniej woli, mocą którego zapisuję mej małżonce cały ruchomy i nieruchomy mój majątek (o ile go nota bene posiadam), wierzycielom długi, a Szanownych Czytelników upraszam, by po najdłuższem mem życiu nie zapomnieli o mnie i bodaj skromnym pomnikiem uczcili moją marną egzystencyę, całą jednak przejętą poświęceniem dla społecznego dobra. O pochowanie zwłok moich na Wawelu nie ubiegam się wcale, nie wiem bowiem, jak zapatrywałby się na to Jego Eminencya, a nie chciałbym być powodem nowych kwasów i rozłamów w społeczeństwie.

Wracając jednak do komety, zaznaczyć muszę, iż przeraża mnie chyżość, z jaką ogon jej w krytycznym dniu, raczej nocy, przeleci ponad biedną ziemią. Astronomowie obliczyli ją na dwieście ośmdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę, jest to więc chyżość daleko większa od tej, z jaką krakowskie tramwaje powracają co wieczór do swej remizy, a już w żadnym stosunku nie stoi do szybkości, z jaką nasze władze rządowe i autonomiczne załatwiają rozmaite „kawałki“. Widowisko rozpocznie się o godzinie drugiej nad ranem i trwać ma (wedle zapewnienia rządowych organów) przez kilka godzin. Dokładny czas zależy od długości ogona i jego kształtów, jeśli bowiem będzie on okręcony, to ziemia przetnie jego oś później, jeśli zaś wyprostowany, wcześniej. Cała kula ziemska otoczona będzie jednak w owym czasie materyą ogona, w której, jak zapewniają, zawarty jest sinek potasu, ale nie w pigułkach, lecz w stanie lotnym. W myśl patentu kancelaryi nadwornej z r. 1781 o handlu truciznami, powinienby wkroczyć i fizykat miejski i zabronić, ze względu na publiczne bezpieczeństwo, przejścia owego ogona, każdy bowiem z publiczności będzie się mógł wówczas zaopatrzyć bezpłatnie w kwas pruski, który przecież, jak wiadomo, wolno w aptekach wydawać tylko za receptą.

Celem obserwowania niezwykłego zjawiska zawiązał się w Krakowie komitet przedsiębiorców, którzy budują na ten dzień na Błoniach miejskich trybuny; z trybun tych za skromną opłatą będzie mógł każdy (o ile mu naturalnie pozwoli władza domowa) zupełnie bezpiecznie przyglądać się komecie, zwłaszcza że będzie na miejscu pogotowie Towarzystwa ratunkowego, które w razie potrzeby natychmiast udzieli swej pomocy.

Niektórzy uczeni sądzą, że z komeciej nocy nastąpią pewne zaburzenia meteorologiczne, dodają jednak skromnie, że trudno przewidzieć, jakiego one będą rodzaju. Jedni przypuszczają, że na zachodzie rozjaśni horyzont bladoróżowe światło (ten kolor jest modny w tym sezonie), inni sądzą, że w chwili przejścia ziemi przez ogon będą w powietrzu latać ogniste kule, przypominające latanie w przestworzu, talerzy, pantofli, kluczy i podobnych przedmiotów, gdy mąż przypadkowo spóźni się do domu, wszyscy zaś zgadzają się na to, że właściwie jeszcze nic nie wiedzą, ale nazajutrz po zderzeniu, złożą najdokładniejsze o niem sprawozdanie. Czy walenie się budynków we Lwowie stoi w jakim związku ze zbliżaniem się komety, dotąd także nie jest urzędowo, ani naukowo sprawdzonem.

Również podzielone są zdania uczonych co do właściwego powodu pojawienia się komety. Jedni, i ci zdaje się najwięcej mają racyi, twierdzą, że odbywa ona tylko zwykłą swą drogę, która każe jej co siedmdziesiąt pięć lat pokazywać ziemi swój ogon, inni, więcej przesądni, przepowiadają wojny i koniec świata, którego ona jest zwiastunem, są wreszcie i tacy, którzy utrzymują, że jest to tylko uświetnienie i upamiętnienie tak doniosłej dla Krakowa chwili, jaką było przyłączenie gmin sąsiednich i utworzenie rozszerzonego serca Polski. — Opowiadania, jakoby zjawienie się komety miało wróżyć zagładę narodowej demokracyi lub partyi ludowców, albo też wprowadzenie reformy wyborczej do Sejmu i Rady miejskiej, wydają mi się być niewiarygodnemi, lub co najmniej przedwczesnemi.

Nie wesoło więc robi się każdemu na samą myśl, że ów maj, opiewany zwykle przez poetów, a tego roku przez astronomów, już nadszedł. Zamiast słowików, kraczą nam tylko na plantacyach gawrony, a bardzo złym znakiem jest także nieudanie się międzynarodowego święta robotniczego, które dzięki zapobiegliwości partyi socyalno-demokratycznej wypadło tego roku w niedzielę i święto żydowskie, umożliwiło więc wzięcie udziału najszerszym warstwom proletaryatu. Była nawet muzyka i cały las czerwonych chorągwi, wiele towarzyszek przywdziało na ten dzień czerwone barwy, cóż jednak z tego, skoro z niebios deszcz kapał i ochładzał zapały! To też uświadomionych towarzyszów zebrało się tego roku stosunkowo mniej, niż zwykle, nastrój nie był tak podniosły, jak ongiś! Burżuazyjna prasa twierdzi, że ludowi pracującemu zaczynają się już otwierać oczy, prowodyrzy głoszą, że to nieprawda, że jedyną przyczyną był deszcz, uproszony na ten czas przez wrogie socyalistom stronnictwa.

Najbardziej dziwił się Mickiewicz, który co roku musi kilkakrotnie wysłuchać różnych przemówień, a już pierwszego maja z obowiązku. Jakoś nieswojsko było mu na piedestale, obwieszonym ze wszech stron czerwonymi sztandarami, a o ucho jego nie mile obijały się tony międzynarodowych pieśni, wielbiących rozłam w społeczeństwie i przewrót, gdy on przecież był apostołem wzajemnej miłości i zgody, która jedna i jedyna może nas jeszcze postawić w tym rzędzie ludzi europejskich, w którym nam się miejsce słusznie należało i należy.

Jak zaś grzeszymy brakiem zgody i jedności, to znów widzieliśmy z wyniku głosowania na posła z Poznania. Dzięki niezrozumieniu naszych celów i walkom partyjnym o mało nie utraciliśmy mandatu z Poznania, który dotąd zawsze Polak piastował, a o który kusili się zawsze Niemcy, chcący przecież przekonać świat, że ich zabiegi i wysiłki nie pozostają bez skutku, a germanizacya Poznańskiego postępuje ciągle naprzód. I już zdawało się, że z walki między Polakami skorzystają Niemcy, a z urny wyjdzie pan burmistrz, jako poseł polskiego miasta. Dzięki Bogu stało się inaczej, miejmy nadzieję, że chyba nie doczekamy tej smutnej chwili, gdy Poznań zapomni o swej polskości i obdarzy Niemca zaufaniem.

Że zaś Poznań leży Szwabom bardzo na sercu i wątrobie, tego dowodem troskliwość, której dowód dał znów cesarz Wilhelm polskiemu społeczeństwu. Niedawno żal mu się zrobiło, że wszystkie większe polskie miasta mają swe zamki, nie ma go jedynie Poznań, kazał więc wybudować zamek królewski, wpawdzie pruski, ale w każdym razie zamek, a obecnie nie waha się wcale, ale chce pozwolić jednemu ze swych synów, może nawet następcy tronu, aby w nim zamieszkał. Czyż nie jest to wzruszający dowód pamięci o nas, a my jeszcze narzekamy! Instalacya ma nastąpić w dniu 15 lipca, jako w uroczystość Grunwaldu. Pięćset lat temu pędzono Szwabów z Polski, dziś z tryumfem powraca ich potomek i zasiędzie na zamku poznańskim w chwale i majestacie!...

Opinia publiczna mało się obecnie zajmuje polityką i nie interesuje jej wcale, czy Albańczycy poddadzą się Turkom, czy też może rzucą się w objęcia Austryi. Przeboleliśmy katastrofę Zeppelina II, czekamy jego podróży z Drezna do Wiednia, naturalnie z ominięciem Pragi, gdyż język czeski gotów balonowi znowu zaszkodzić. Zapomnieliśmy nawet o tragicznych losach weneckiej bohaterki, Tarnowskiej, której proces dobiega końca. Wszystkiem winien porucznik Hofrichter, który zajął ogólną wagę. Przyznaniem się do rozsyłania oficerom „rozweselających“ pigułek, wprowadził śledztwo na zupełnie inne tory i rozdarł serca niewieście, które teraz nazywają go potworem, choć przedtem uważały go za bohatera i męczennika. I prasa zmieniła o nim zdanie i nazywa go zwykłym zupełnie zbrodniarzem, który godzien jest śmierci... Sensacyą, równą komecie Halleya, będzie proces truciciela, który ma się odbyć już w połowie maja, o ile nota bene kometa nie stanie i temu na przeszkodzie.

Drugim bohaterem dnia jest także minister Biliński, który szczęśliwie ominął Scyllę i Charybdę budżetową, t. j. doczekał się nareszcie uchwalenie pożyczki. Usłyszał wprawdzie przy tej sposobności tak w komisyi budżetowej, jak i na pełnej Radzie państwa, a nawet w zwykle śpiącej Izbie panów sporo słów nieprzyjemnych, oświadczył jednak, iż nic sobie z tego nie robi. W Austryi jest konstytucya, każdy więc może sobie gadać, ile mu się zechce i spodoba, ale też za tę przyjemność musi płacić, bo państwo potrzebuje gotówki na dreadnoughty i inne lądowe, morskie i powietrzne potwory. Posłowie odpoczywają po trudach, ze względu na święta obrządku greckiego, niedługo powrócą jednak do pracy, aby znów rozpocząć ferye, z powodu Zielonych Świąt.

Tymczasem każdy Krakowianin buja bodaj myślami w powietrzu, posiadamy bowiem aż trzy aeroplany, z których żaden wprawdzie jeszcze nie latá, ale jeden z nich już we czwartek ma się popisywać przed publicznością, o ile nota bene dopisze pogoda, teren odpowiedni, no i humor naturalnie, bo obecnie i aeroplany mają swoje kaprysy i grymasy. Lwowianie pędzili galopem na Kulparków, by widzieć Granda, my podążymy na Błonia, aby podziwiać Hieronimusa, którego niedawno okrzyczano Prusakiem, a obecnie przerobiono na Czecha.

X.

Zgon znakomitego architekta.

Architektura polska, ta najmłodsza u nas gałęź sztuki, ciężką, bolesną poniosła stratę. Zmarł bowiem przed paru dniami we Lwowie Teodor Talowski, profesor tamtejszej politechniki i jeden z najwybitniejszych polskich architektów. Imię profesora



Zgon znakomitego architekta: Ś. p. Teodor Talowski, profesor architektury na politechnice we Lwowie.

Talowskiego głośne było od wielu lat w całej Polsce, a zdobył je swojemi dziełami, w których talent jego niepospolity objawił się tak wspaniale, obok nadzwyczajnego odczucia i poczucia historycznych stylów.

S. p. Talowski urodził się 1857 r. w Zasowie w Galicyi i po ukończeniu szkoły realnej w Krakowie, rozpoczął studya politechniczne w Wiedniu, skąd po dwu latach przeniósł się na politechnikę lwowską. Tu należał do najzdolniejszych, najbardziej utalentowanych uczniów ś. p. prof. Zacharjewicza, od którego przejął zamiłowanie do stylu romańskiego. Prof. Talowski potrafił tchnąć w ten styl nowe życie, przystosować go do współczesnych warunków, w nim też projektował przeważną ilość budynków, zwłaszcza kościołów.

Po ukończeniu politechniki lwowskiej powrócił do Krakowa, gdzie otrzymał stanowisko asystenta budownictwa w ówczesnym instytucie technicznym, następnie zaś był zastępcą profesora w wyższej szkole przemysłowej krakowskiej. Stanowisko to skromne zajmował do 1900 r., równocześnie zaś rozwinął bardzo ożywioną i bujną działalność jako architekt, a okres ten w życiu prof. Talowskiego stanowi epokę najświetniejszą, uwieńczoną dziełami niepospolitej wartości. Dziełami swemi, w tym czasie stworzonemi, zwrócił na siebie uwagę całej Polski. A kiedy kwestya obsadzenia katedry architektury średniowiecznej na politechnice lwowskiej stała się aktualną, uznano ogólnie i jednomyślnie, że najodpowiedniejszym i najgodniejszym kandydatem na to stanowisko jest prof. Talowski. Stanowisko to objął istotnie i od 1901 r. przebywał we Lwowie, gdzie również projektował cały szereg wspaniałych budynków oraz kościołów.

Kraków ma trwałą pamiątkę po ś. p. prof. Talowskim w postaci szeregu pięknych kamienic przy ul. Retoryka, Lwów — prócz wielu pomniejszych budynków, will i kamienic — w postaci monumentalnego kościoła św. Elżbiety, a inne miasta, jak Nowy Sącz, Sucha, Łańcut, Chorzelów, Kamionka Strumiłowa i inne, także w postaci kościołów.

Zgon tego młodego jeszcze, w pełni sił i życia architekta, wywołał w całym kraju szczery i serdeczny żal i współczucie. Ogół bowiem zdaje sobie sprawę z rozmiarów straty, jaką śmierć prof. Talowskiego stanowi.

Cześć jego pamięci!

Wystawa sztuki w Wenecyi.

Przepiękna Wenecya, to bajeczne miasto, czarujące urokiem swych budowli, kościołów, pałaców, czarujące swą niezrównaną architekturą, gości dziś tłumy międzynarodowej publiczności, interesującej się sztuką i jej rozwojem. Otwarto tam mianowicie wielką, międzynarodową wystawę sztuki, mieszczącą się w kilku pałacach „Giardini Publici“.

Otwarcie tej wystawy było w tym roku, jak zresztą zawsze w podobnych wypadkach, uroczystem świętem całego miasta. Budynki przybrano flagami, tak samo statki i gondole w kanałach, przez miasto przeciągają orkiestry i oddziały wojska, a tłumy dążą w kierunku wystawy już od wczesnego rana.

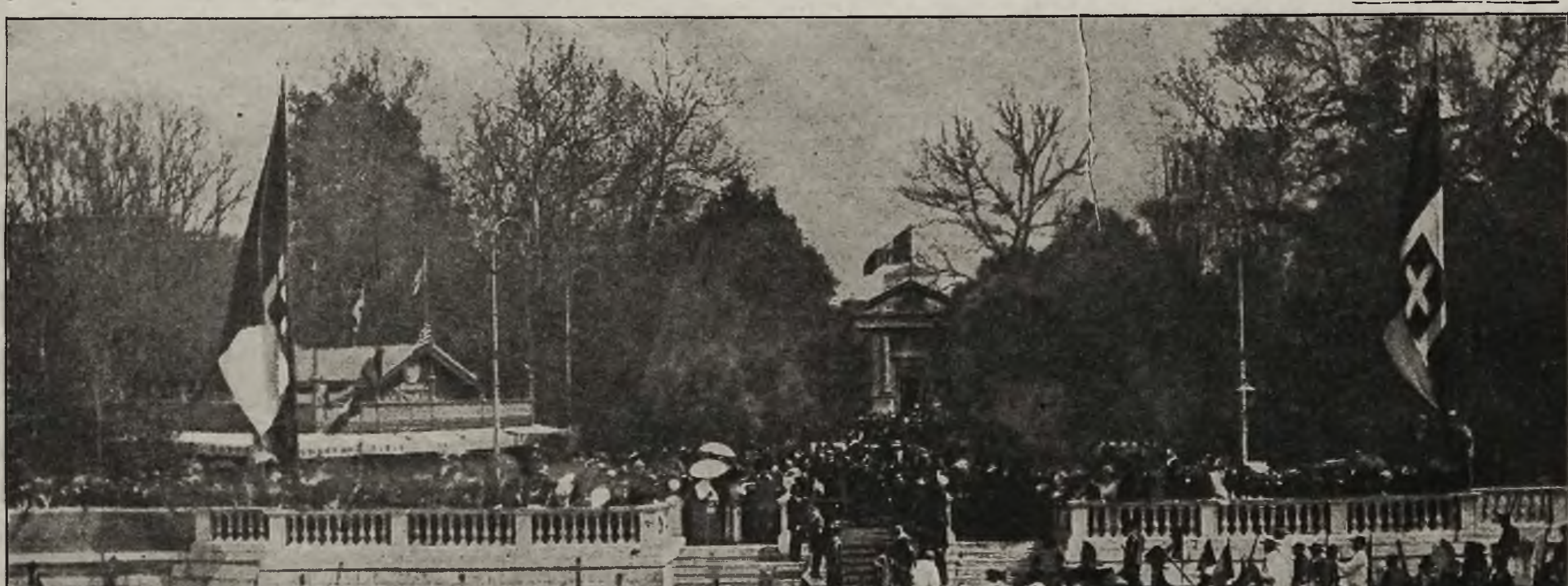
W ogrodzie, przed wejściem na wystawę, tłok tak gęsty, że przecisnąć się trudno. Publiczność tam zgromadzona czeka na ks. Abruzzów, który ma uroczyście otworzyć wystawę.



Uczczenie polskiego leśnika: Prof. Zygmunt Demianowski.

Przepych ogromny, niezwykły. Widnieją złociste mundury dygnitarzy, przepyszne toalety dam z towarzystwa, a wszystko zniecierpliwione i zdenerwowane oczekiwaniem.

Wreszcie zjawia się gondola księcia Abruzzów, który powitany owacyjnie przez publiczność, wchodzi w szpaler. Za nim sztab, oficerowie, goście, przedstawiciele prasy. Wszyscy wchodzą do głównego pałacu wystawy: *palazzo d'arte.*



Wystawa sztuki w Wenecyi: Ogólny widok wystawy w dniu otwarcia.

Tam odbyło się oficyalne otwarcie wystawy. Przemawiał minister oświaty i burmistrz Wenecyi, poczem książę Abruzzów i dygnitarze zwiedzili wszystkie sale.

Wystawa przedstawia się bardzo okazale i jest może najpiękniejszą ze wszystkich dotychczasowych wystaw w Wenecyi. Dla nas interesującą jest rzeczą, że nie brak na niej dzieł polskich artystów.



Oryginalny atleta: Habu et Alti, opierający się mężczyznom, ciągnącym go za język.

Zdjęcie w dzisiejszym numerze przedstawia ogólny widok miejsca wystawy w dzień jej otwarcia.

Uczczenie polskiego leśnika.

W sali Towarzystwa Strzeleckiego we Lwowie w poniedziałek 2 b. m. złożyli leśnicy polscy hołd za pracę cichą i niestrudzoną, za szlachetność serca i charakteru, profesorowi wyższej szkoły lasowej we Lwowie, Zygmuntowi Demianowskiemu. Przez lat 30 pracował p. Demianowski w tej szkole, a był nietylko profesorem ale i szczerym przyjacielem młodzieży, która zawsze z całem zaufaniem dążyła do niego po dobrą radę i serdeczną pomoc. Jego życie było ściśle z życiem tej szkoły związane, bo najlepiej rozumiał jej potrzeby. W chwilach przełomowych, jakie przeżywała lwowska szkoła leśna, gdy jednostki o wyższych dążeniach i ideałach przedsięwzięły syzyfową pracę stworzenia wyższej szkoły, prof. Demianowski bez wahania stanął po ich stronie. I tem też zdobył serca wszystkich, komu rozwój i podniesienie polskiej nauki jest drogą zdobyczą.

Po 30 latach pracy, mimo że prof. Demianowski ma jeszcze dużo chęci do pracy, że nie stracił jeszcze energii, wręczono mu dekret emerytalny, bo niemile był widziany u tych, którzy serwilizm przenoszą ponad śmiałe zasady obywatelskie. Fakt ten wywołał przykre uczucie wśród leśników polskich.

Z inicyatywy też Towarzystwa wzajemnej pomocy słuchaczów wyższej szkoły lasowej we Lwowie zawiązał się wraz z starszymi leśnikami komitet, który postanowił uczcić zbiorową manifestacyą kochanego profesora.

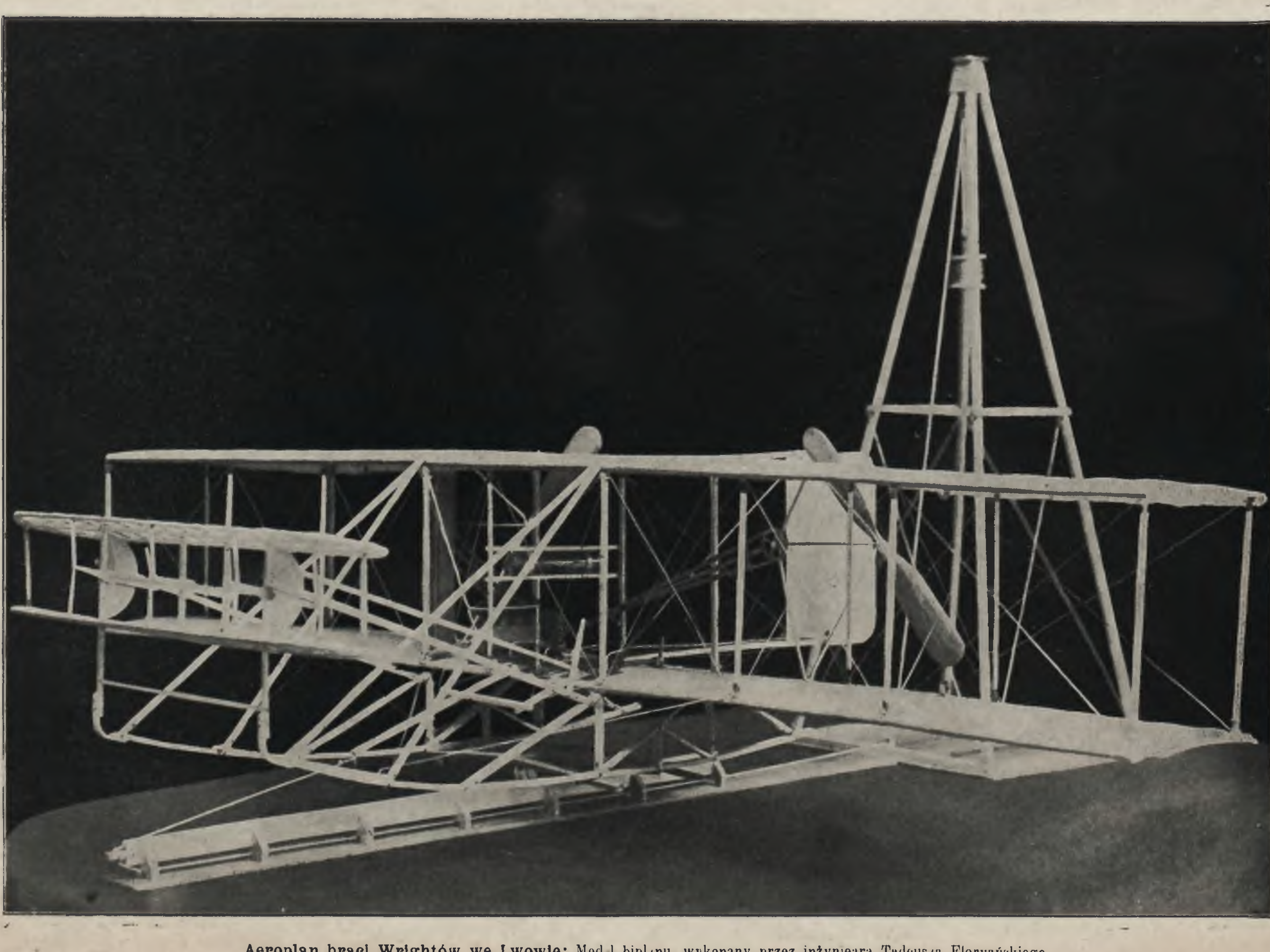
Zjechało z całego kraju a nawet z poza kraju około stu leśników młodych i starszych. Wyrazy hołdu i uznania składali prof. Demianowskiemu w gorących przemówieniach radca leśnictwa p. Jasienicki, reprezentant młodzieży p. Tomażycki, starszy leśniczy p. Galiński, prezes Galicyjskiego Towarzystwa leśnego hr. Szeptycki i starszy radca leśnictwa p. Tarłowski, który zakomunikował, że dla uczczenia zasług prof. Demianowskiego stworzono fundacyę jego imienia dla słuchaczów leśnictwa. Wkońcu odczytano mnóstwo telegramów, nadesłanych z kraju i zagranicy, a wieczorem odbyła się uczta na cześć prof. Demianowskiego.

Latawiec braci Wrightów we Lwowie.

Aeroplan Blériota, głośnego awiatora od czasu przepłynięcia przezeń kanału La Manche, miał Lwów sposobność poznać bardzo dokładnie, bo obaj we Lwowie popisujący się piloci, tak Le Grand jak i Hieronimus używali do swych wzlotów aparatu Blériota, zwanego „kanałowym“. Dzięki p. T. Floryańskiemu mógł Lwów poznać także latawca systemu Wright'a, wykonanego jako model w $^1/_{10}$ naturalnej wielkości dla politechniki lwowskiej. Przed oddaniem latawca politechnice wystawił go p. Floryański na widok publiczny w sali Kasyna miejskiego, przeznaczając cały dochód na Dar Grunwaldzki i Dom T. Kościuszki we Lwowie.

W ciągu kilku dni przesunęły się przez wystawę tłumy publiczności i młodzieży szkolnej, a niestrudzony p. Floryański z całą uprzejmością objaśniał czynność poszczególnych części aparatu.

Latawiec Wrighta pod względem konstrukcyi i sposobów kierowania różni się znacznie od aeroplanu Blériota. Przedewszystkiem jest on dwupła-



Aeroplan braci Wrightów we Lwowie: Model biplanu, wykonany przez inżyniera Tadeusza Floryańskiego.

szczyznowcem. Motor, używany do wprawiania w ruch biplanu, jest specyalnie skonstruowany i nosi również, jak cała maszyna, nazwę motoru Wright'owskiego. Motor ten posiada siłę 25 koni i robi 1400 obrotów na minutę. Waga całego przyrządu wraz z motorem, benzyną w rezerwoarze, pilotem i ewentualnie pasażerem wynosi 500 kg. Do sterowania latawiec systemu Wrighta jest o wiele trudniejszy aniżeli aparaty Blériota, Farmana i innych; wystarczy powiedzieć, że pilot ani na chwilę nie może podczas lotu odjąć rąk od steru.

Latawiec braci Wrightów różni się od innych aparatów na zewnątrz jeszcze tem, że nie posiada rozpędowych kół, ale zakończony jest u spodu płazami, a start odbywa się zawsze ze szyn pochyło ułożonych.

Model latawca Wrightowskiego wykonany jest ze ścisłą dokładnością we wszystkich częściach składowych, a ponieważ jest mniejszy od oryginalnego aparatu, łatwiej nim demonstrować i łatwiej na nim dostrzedz wszystkie części składowe, jak również ich funkcyonowanie.

Wykonanie tego modelu zabrało inżynierowi Floryańskiemu 3 miesiące czasu i przynosi mu prawdziwy zaszczyt.



Moda parasolkowa: Parasolka czworograniasta na lato 1910.



Operetkowy zamach: Baronowa Vaughan, morganatyczna żona zmarłego króla Belgii.

Moda parasolkowa.

Wszystko się zmienia na świecie, mówi stare przysłowie, nawet i my się zmieniamy. Do tego dodać należy tylko tę uwagę, że dziś ta ogólna zmiana we wszechświecie odbywa się w daleko szybszem tempie, niż za czasów autora łacińskiego przysłowia: *Tempora mutantur et nos mutamur in illis.* Żyjemy przecież w wieku pary, benzyny i elektryczności, wszystko pędzi naprzód, jeśli nie z szybkością błyskawicy, to w każdym razie z szybkością benzynowego automobilu.

A gdy wszystko ulega tak szalonej zmianie, to cóż dopiero mówić o modzie. Skoro obstalujecie ubranie u krawca, a ten nie zrobi go za tydzień, możecie być przekonani, że ubranie będzie już niemodne. W ciągu tygodnia, dwu, a miesiąca napewno, ubrania męskie stają się niemodne, więc cóż dopiero mówić o sukniach damskich, kapeluszach i wogóle całej toalecie damskiej, która zmienia się, względnie którą kobiety zmieniają z zadowoleniem, niczem rękawiczki.

Obserwując mody damskie, musiał każdy zauważyć, że parasolki stosunkowo najmniej ulegały tym saltom śmiertelnym mody w ostatnich czasach. Dopiero rok bieżący, który głowy pań ukapeluszył „Chantecleramí“, przyniósł nam zmianę w modzie parasolkowej. Miejsce dotychczasowych okrągłych parasolek zająć mają czworograniaste, spotykane, mówiąc nawiasem, u ludów starożytnych i egzotycznych.

Jakkolwiek tę zmianę w modzie parasolkowej przyjmą kieszenie ojców rodzin, nie da się zaprzeczyć, że parasolki czworograniaste będą urozmaiceniem dotychczasowej mody.

Operetkowy zamach.

„Młoda“ wdowa po królu belgijskim Leopoldzie II., baronowa Vaughan, której nazwisko było do niedawna tak głośne, jako morganatycznej małżonki króla Belgii, dała znowu powód, co prawda bez swej winy i woli, do zajęcia swą osobą uwagi prasy i publiczności.

Stało się to w ubiegłym tygodniu w Paryżu, gdzie bar. Vaughan stale obecnie ze swemi dziećmi mieszka. Wyszła ona na przechadzkę ze swymi synami, w tem na jednej z ruchliwych ulic zajechał jej drogę automobil, z którego wysiadła jakaś kobieta z rewolwerem w ręku. Zauważyły to dzieci, więc rzuciły się z krzykiem przerażenia między matkę a napastującą ją kobietę, a wskutek interwencyi publiczności kobieta owa, zamachu wykonać nie mogła.

Okazało się następnie, że ową niebezpieczną „bandytką“, która czyhała na życie bar. Vaughan, była jej rodzona siostra, madame Auseli. Madame Auseli prosiła kilkakrotnie swą siostrę o zasiłek, ponieważ znajdowała się w bardzo krytycznych stosunkach materyalnych. Prośby te jednak były zawsze bezskuteczne. Mimo to nie miała madame Auseli, jak twierdzi, zbytniego żalu do siostry i ani jej przez myśl nie przeszło pozbawiać ją życia. Chciała ją tylko przestraszyć, nadać sprawie rozgłos i moralnie zmusić do zasilenia pewną kwotą. Że nie myślała seryo o zamachu, dowodem, iż rewolwer, który miała w ręku, był nienabity.

„Niekrwawa“ a jednak sensacyjna przygoda bar. Vaughan wywołała oczywiście w Paryżu ogromne wrażenie, tem więcej, że bohaterka skandalicznej historyi jest tam osobą powszechnie znaną.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12.

Szarada: Tygrysy.
Logogryf: Kazimierz Brodziński.

Arytmograf:
J
złoto
Kontratowicz
Rosienie
Józef
Kazek
Wilno
Dniepr
Jachowicz
Pomorze
Niemen
Garczyński
Chełmo
Trepow
Alfons
mak
l

Łamigłówka:
K o t
o n a
z e z
s k i
m u r
s p i
e w a
ż a r
z ą b
p a w
i w a
a l e
l e n
r a k
i z a

Szarada: Pierścień.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S Łempicki Lwów, M. Sikorska Sambor, W. Ossowski Warszawa, A Biliński Tarnopol, J. Lemański Warszawa, W. Ostrowski Sandomierz, K. Radziszewski Czortków, S. Lindenbaum Czerniowce, M. Szumlakowski Lwów, J. Menczak Radymno, Z. Dymnicka Jasło, S. Rogoyski Bochnia. M Ziomek Niegowce, K. Gerhardt Konstancya, A. Gajerski Przemyśl, J. K. Januszewski Kraków. Z. Rembaczówna Lwów. J. Łabęcka Warszawa, H. Harasowska Krowica, ks. E. Krynicki Bobiatyn. M. Malinowska Oświęcim, E. Biliński Jezierzany, L. Misiak Łuka Mała, Z. Karasińska Brzesko, A. Rotter Stanisławów, W. Haszczyc Przemyśl, A. Bocsoń Bóbrka, A. Pawlikiewicz Lisko, W. Budzianowska Matyjowce. M. Świszczowska Swoszowice, S. Ramoszyńska Tustanowice, W. Seidler Kraków, M. Turecka Maksymówka, S. Faliszewski Baligród. J. Szpak Kraków, T. Cholewicz Kraków, J. Szymanek Stary Sambor, S. Krzetuski Kraków, M. Czeczótka Podłęże, K. Jurajdowa Glinany, J. Wohn Lwów, J. Kawecki Jaworzno, Z. Sobocińska Skała, B. Polityński Zagórz, S. Jasińska Bełzec, J. Trochimczukówna Cieszanów, Z. Kurowski Sassów, T. Macieliński Jabłonica, S. Foltman Borysław, K Kaim Kraków, M. Arbesbauer Lwów, R. Sopiński Kraków, J. Piętakiewicz Krzeszowice, Z. de Boulangé Gawłówek, K. Jazienicki Małkowice, W. Kowarzyk Lwów, Dr. M. Senensieb Jabłonów, E. Głogawski Lwów, S. Bobowski Jasionów. K. Fuchs Czeremchów, G. Stary Krzeszowice, J. Badura Rożdzień, W. Radwański Kraków, J. T. Iwański Tarnów, W. Krupski Zborów, J. Jadźwiński Rzeszów, T. Merz Michowa, F. Jampel Przemyśl, H. Gończarczykowa Brody. A. Grabowska Barwałd, S. Guzel Warszawa. M. Serbeńska Budzanów, A. Jezierski Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków. K. Kalinowski Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Jadźwiński Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Atrakcyą programu krakowskiego Cyrku **„Edison“** od piątku dnia 6 go. do czwartku dnia 12. maja br. będzie obraz p. t. „Małgorzata Pusterla“, dramat historyczny z czasów średniowiecznych.

Na wzmiankę zasługują też zdjęcia z natury „Schafhuza i korso kwiatowe“.

Reszta programu składa się przeważnie ze zdjęć humorystycznych.

Z półek księgarskich.

W ROCZNICĘ GRUNWALDZKĄ wydała Macierz Polska książkę pióra profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego **Wiktora Czermaka** p. t. **Grunwald.** Praca oparta jest na wynikach ostatnich badań i własnych studyach uczonego. Autor poucza czytelnika o faktach, wskazuje mu rozległe horyzonty historyczne i krzepi go prawdą.

Książka pozwala zrozumieć dokładnie, czem było Krzyżactwo i czem był i **jest** dla nas Grunwald. Całość liczy 9 arkuszy druku i zawiera 55 rycin. Cena 1. Kor.

NADESŁANE.



Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

7

— Przepraszam... — rzekła Ewa. — Stróżka mi mówiła, że nie widziała pani od wczoraj rana... Obawiałyśmy się, że pani może jest chora i dlatego ośmieliłam się... jako sąsiadka... przyjść zobaczyć, czy pani czego nie potrzebuje...

— Nie proszę pani, niczego... Dziękuję bardzo...

Ludwika mówiła to głosem tam słabym i z takim wysiłkiem, iż zwróciło to uwagę Ewy.

— Czy naprawdę pani niczego nie potrzebuje? — nalegała praczka.

— Nie, wszystko mam...

Brakowało jej tylko chleba, takich jednak rzeczy nie mówi się nikomu. A przytem chciała już raz umrzeć.

Ewa stała przy drzwiach niezdecydowana. Widziała wyraźnie, że panna Dubois nie mówi prawdy. Z drugiej jednak strony trudno było odgadnąć, czego potrzebuje, a gdyby się nawet i domyśliła, to nie wiedziała, jak ją skłonić do przyjęcia pomocy. Niepewność jej jednak nie trwała długo. Z piersi jej wyrwał się krzyk przerażenia. Ludwika zachwiała się nagle i padła bez sił na podłogę. Dobra jej sąsiadka, nie tracąc przytomności, wzięła, podniosła nauczycielkę i zaniosła na łóżko. Ludwika przyszła natychmiast do siebie.

— Co się stało?... — zapytała szeptem. Ach! upadłam, ale to nic...

Praczka ujrzała na stole okruszyny chleba i niedopitą szklankę wody. Wobec tych dowodów domyśliła się odrazu trybu życia swej sąsiadki.

— Proszę powiedzieć! Pani jest głodna? — szepnęła, nachylając się nad Ludwiką.

Twarz nauczycielki pokryła się rumieńcem. Miała jeszcze tyle krwi, iż mogła się zarumienić z tego, że jest głodna.

— Nie! — odrzekła.

— A ja wiem — odparła Ewa stanowczo — iż pani nie jadła nic ani wczoraj, ani dzisiaj... Przyniosę pani filiżankę bulionu...

— Nie, dziękuję... Nie chcę...

Było to powiedziane głosem tak żałosnym i omdlałym, iż dobra praczka przez chwilę stała w milczeniu, poczem naraz wybuchła płaczem.

— Boże mój! Boże mój! — zawołała, klękając przy łóżku i obejmując Ludwikę rękami. — Jaka pani musi być nieszczęśliwa.

Młoda panna, osłabiona z głodu i nie wiedząc dobrze, co się z nią dzieje, leżała bez ruchu.

— Tak — powtarza Ewa. — Czuję, że pani jest nieszczęśliwa! I dlatego mi tak przykro!

Ludwika przestała płakać, gdy zapukano do drzwi, teraz jednak na nowo polały się łzy, obfitsze, lecz nie tak już gorzkie. Nie mogła sprzeciwić się już okazywanej sobie dobroci. Nie miała zresztą już sił do opierania się czemukolwiek.

— Jak się pani nazywa? — wyszeptała.

— Ewa Geraud.

— Ewa... — powtórzyła Ludwika.

Nie mogła jednak dokończyć. Tylko w jej szarych wielkich oczach malowało się tyle wdzięczności, iż trudno było wyrazić ją słowami. A te oczy, gdy chciały, mogły mówić tak wymownie. Nieraz patrzały milcząco. Były wtedy tylko piękne, świetlane i jasne, lecz nieme. Potem ożywiały się nagle. Budziło się w nich życie. Nie jaśniały więcej niż przedtem, lecz rodził się w nich jakiś błysk, który z taką siłą wyrażał ukrytą myśl lub czucie, iż każdego przejmował.

— Och! — rzekła praczka. — Jaka pani jest piękna!

Teraz Ludwika była mniej piękna, niż kiedykolwiek. Na jej wychudłej i bladej twarzy łzy wyżłobiły jakieś czerwone bruzdy. Szare oczy opromieniały tylko całą postać. Ewa zaś była więcej niż ładną, była prawdziwą, skończoną, klasyczną pięknością. Rysy jej były nadzwyczaj regularne, cera biało malowana, zęby małe i perłowe. Czarne jej włosy były dwa razy dłuższe, niż włosy Ludwiki. Jej czarne aksamitne oczy nie były tak wielkie jak nauczycielki i nie miały tego uroku magicznego, pobudzającego serca do żywszego bicia, świeciły się jednak i one jak dwa brylanty.

Tymczasem piękna praczka powstała i wycierała sobie łzy. Przybrała znowu wyraz stanowczości i rzekła:

— Niech pani się nie rusza, tylko czeka spokojnie!

I lekkim krokiem wybiegła szybko z pokoju.

VI.

Kaiser Wilhelm wpłynął po południu do przystani Cherbourga. Lewis Jackson, jego sekretarz i Piotr Cartelegue siedzieli w wagonie i jechali do Paryża. Miliarder i siostrzeniec jego stali na korytarzu i rozmawiali z sobą. Była godzina dziewiąta wieczorem i pociąg dojeżdżał już do stolicy Francyi, gdy Lewis Jackson rzekł do swego towarzysza:

— Mam pewien projekt!

— Jakiż? — zapytał Piotr.

— Nie mów nikomu, że jestem miliarderem!

— Dlaczego?

— Będziemy prowadzili śledztwo... Ja swoje o tyle swobodnie, że nikt na mnie nie będzie zwracał uwagi... nie wiedząc o mojem bogactwie, nie będą się mnie obawiali...

— Ależ nazwisko Lewisa Jacksona jest znane powszechnie w Paryżu, a zna je zwłaszcza Maksym Duret, który sam się zajmuje interesami...

— Będę się też we Francyi nazywał tylko Juliuszem Maixent...

— To co innego!

— Umiałem, że najlepiej będzie, jeżeli zjawię się z Ameryki nie jako bogaty wujaszek, lecz jako biedny krewniak... Zdaje mi się, że zewnętrzny mój wygląd nie wielkie da świadectwo o mej zamożności.

Kto będzie oceniał Lewisa Jacksona po ubraniu, jakie miał na sobie, źle skrojonym garniturze i cienkiem paletku, nie zupełne będzie miał wyobrażenie o jego dochodach.

Po sześciu dniach podróży, z których pięć i pół spędził przeważnie na pokładzie bez względu na pogodę, ubranie jego znalazło się w godnym politowania stanie. Sekretarz jego, Smith, zachodził w głowę, co mogłaby znaczyć ta dziwna i nagła zmiana w przyzwyczajeniach pryncypała. Nie śmiał się o to pytać, nawet najdyskretniej, gdyż Lewis Jackson nie należał do tych, którym można zadawać pytania dla zaspokojenia własnej ciekawości.

„Czy to jest zakład?... Wiedziałyby jednak o nim i pisały dzienniki... Może należy teraz do jakiej sekty, może do Armii Zbawienia, która nakazuje swym członkom prowadzenie życia w ubóstwie!... Lecz i to stałoby się wiadomem... Juźby o tem pisali... I on z prozelityzmu głosiłby to powszechnie... A więc“?...

Gdy po raz setny już szukał w głowie rozwiązania tej zagadki, przypatrując się jaśniejącemu w oddali milionami świateł Paryżowi, w przedziale zjawiła się naraz wysoka i szczupła postać miliardera.

— Hallo! Smith! Proszę tutaj.

Sekretarz, również wysoki i chudy jak jego pryncypał, jednym krokiem zmierzył całą długość przedziału i znalazł się odrazu na środku korytarzyka.

— Dla pana, panie Cartelegue — rzekł businessman — i dla wszystkich, kogo tylko poznamy, będę się nazywał teraz Julianem Maixent.

— Julian Maixent?

— Tak!

— Jak się to pisze?

Miliarder powtórzył swe nazwisko litera po literze.

— *All right!* — odrzekł Smith.

— To już wszystko.

Sekretarz wrócił do przedziału, siadł w kącie i zamyślił się znowu nad rozwiązaniem zagadki, która coraz bardziej się komplikowała. Pociąg zagłębiał się w tunel dworca Saint-Lazare i w minutę potem stanął na peronie. Wagony otworzyły się i publiczność zaczęła spieszyć do wyjścia. Piotr wyprzedził wszystkich. Lewis Jackson musiał biedz za nim, by go dogonić.

— Dokąd idziesz? — zapytał miliarder.

— Do Dureta.

— Nie troszcząc się nawet o mnie? Wstrzymaj się! Pozwól mi zrobić samemu tę wizytę!

— Dlaczego?

— Bo brak ci, mój chłopcze, zimnej krwi.

— Mnie?

— Ma się rozumieć! Och! masz jej dosyć przy kierowniku samochodowym... Wiem o tem... Zakręty jednak na drodze życia są trudniejsze od tych, jakie spotykasz, kierując samochodem... Zrobisz mi więc tę przyjemność, iż powrócisz do siebie i będziesz mnie oczekiwał w domu...

Piotr nie opierał się. Lewis Jackson mówił spokojnie, głosem cichym, lecz tonem, który nie dopuszczał protestów.

Młody człowiek zapytał jednak:

— Czy nie mógłbym, zamiast powracać do siebie, iść do Ludwiki?

— Nie wiesz, gdzie mieszka.

— Odszukam ją...

— A gdy ją znajdziesz?

— Powiem jej...

— Nie jesteśmy jeszcze zupełnie pewni jej niewinności — przerwał Lewis Jackson. — Wierzymy, nie możemy jednak twierdzić stanowczo, że jest niewinna.

— A więc?

— Na razie więc nie możesz nic przedsiębrać i dlatego nie powinieneś jej się pokazywać... W przeciwnym bowiem razie powtórzy znowu: „Stałam się ofiarą ohydnego podstępu“! A co ty jej na to odpowiesz?

— Że wiem o tem!

— Powtarzam ci znowu, że przecież nie jesteś zupełnie o tem przekonany!

— Nie mogę jej jednak powiedzieć, że wątpię...

— Właśnie! Powinieneś więc siedzieć spokojnie! I dlatego radzę ci, byś odłożył na później to spotkanie! Roztropność jest często największym dowodem odwagi, jaki człowiek może dać i o nic innego, tylko o to cię teraz proszę... Jeszcze raz powtarzam, wracaj do domu...

— Piotr poddawał się wpływowi Lewisa Jacksona. Uścisnął na znak zgody rękę, którą mu podał miliarder i zapytał:

— A wuj dokąd idzie?

— Dokąd ty chciałeś iść.

— Do Dureta?

— I do pani de Lagunan... Do widzenia!

Businessman uścisnął znowu silnie rękę młodego człowieka i zawołał swego sekretarza, który stał o kilka od nich kroków.

— *Hallo!* Smith! niech pan każe przenieść na-

sze bagaże do hotelu Tuillerus-Palace i zamówi apartament pod nazwiskiem Lewisa Jacksona!

— *All right!*

Miliarder wyszedł szybko z dworca i siadł do pierwszej przejeżdzającej dorożki.

W kwadrans potem dwonił do drzwi małego pałacyku przy ulicy Ampere.

— Zastałem panią de Lagunan? — zapytał Małgorzaty, która otworzyła mu drzwi.

— Pani wyszła — odpowiedziała pokojówka.

Późna godzina i skromny ubiór gościa podyktowały jej tę odpowiedź.

— W takim razie poczekam — odrzekł Lewis Jackson, wchodząc do środka.

— Tutaj?

— Naturalnie.

I miliarder posunął się naprzód w westibulu. Subretka zdziwiona jego pewnym i rozkazującym tonem, zawahała się przez chwilę, potem obróciła się zgrabnie na obcasach i znikła.

W minutę potem pojawiła się znowu i rzekła:

— Pani baronowa zaraz przyjmie pana.

Lewis Jackson został wprowadzony do salonu i znalazł się w obecności pani de Lagunan.

Miliarder skłonił się, na co baronowa stojąc, odpowiedziała mu lekkiem skinieniem głowy.

— Pani mnie nie poznaje?

Łucya zadrżała. Nie, nie poznawała swego dawnego partnera we flircie. Julian Maixent nosił poprzednio zarost, teraz twarz jego była zupełnie wygolona. Przytem zmarszczki, ostrość rysów i surowość wejrzenia zmieniły doszczętnie wyraz twarzy dawnego ucznia Szkoły Centralnej. Ponadto zeszczuplał i możnaby powiedzieć, że wyrósł. Głos jego tylko pozostał prawie ten sam, choć z pewnym odcieniem ostrości i szyderstwa i lekkim akcentem cudzoziemskiego języka. Ten głos właśnie przyprawił o drżenie baronową.

„Gdzież ja go słyszałam?“ pomyślała.

Lewis Jackson skłonił się znowu i rzekł:

— Jestem Julian Maixent.

Łucya de Lagunan pobladła. Powieki jej przymknęły się.

Przez chwilę zachowywała milczenie, potem rzekła cokolwiek zmienionym głosem:

— Cieszę się, że pana widzę...

Nie okazała pozatem żadnego wzruszenia. Na widok jednak tego człowieka, który starał się o nią przed dwudziestu laty i znikł nagle po dramacie, jaki urządziła do spółki ze swym wujem, zmieszała, się bardzo i z trudem tylko zapanowała nad sobą. W przeciągu jednak pół minuty pani de Lagunan odzyskała zimną krew i rzekła swym zwykłym już głosem:

— Proszę, niech pan siada...

Siadł na fotelu. Nie wiedziała, co myśleć o tej dziwnej i niespodziewanej wizycie. Była trochę zaniepokojona.

„Czego on chce odemnie?— myślała. Jak się postarzał! Jak biednie wygląda!“

Lewis Jackson siedział naprzeciwko pani domu.

— Przybywam z Nowego Jorku — zaczął bez żadnych wstępów — gdzie spotkałem młodego Cartelegue'a...

— Ach! tak? — odezwała się baronowa z pewnem drżeniem.

— Biedny chłopiec opowiedział mi swój zawód sercowy...

Pani de Lagunan uczuła się jak zmrożoną od stóp do głowy. Na dnie tego niepokoju, jaki nią owładnął, gdy Julian Maixent wymienił swe nazwisko, leżała obawa nieokreślona jeszcze lecz straszna, czy przypadkiem nie dowiedział się o przygodzie Ludwiki Dubois. Podobieństwo jej przygody i Magdaleny Maixent było bardzo wyraźne, a przez to i niebezpieczne. Obawa, do której baronowa nie śmiała przyznać się nawet przed sobą, przy pierwszych słowach gościa zamieniła się w pewność niebezpieczeństwa, jakiego nie przypuszczała nigdy siostrzenica Maksyma Dureta.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Pierwsze, drugie nieraz
Rozbija okręty,
Drugie razem *z pierwszem*
To przybytek święty,
Potrzebne zaś *trzecie,*
Znajdziesz w alfabecie.
Całość, to nazwisko
Sławnego malarza,
Jest też święty taki,
Patrz do kalendarza!

Trójkąt magiczny.

Ułożył A. i M. K. Kraków.

Kwadraty i kreski, zastąpione odpowiednio literami, utworzą szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Pierwszy wiersz poziomy i pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę historycznej miejscowości w Hiszpanii.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. ?. 2. Bohater z wojny trojańskiej. 3. Miasto nadmorskie we Francyi. 4. Jezioro w Ameryce. 5. Imię męskie. 6. Kraj w Azyi. 7. Imię męskie biblijne. 8. Rzeka w Niemczech. 9. Dwie spółgłoski (razem używane). 10. Samogłoska.

Zadanie konikowe.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

		wie	li	ba	je		
	two	trze	się	kto	twą	ce	
cię	do	cię	kność	ty	ko	steś	to
oj	cił	dzę	pi	sknię	bie	w ca	nić
i	le	pię	stra	tyl	ja	po	jak
dziś	czy	o	wi	su	tę	ten	łej
	bie	i	bo	mo	o	zdro	
		zno	zdo	wie	ję		

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Drugie—czwarte łatwo
Dostać w pojedynku,
Pierwsze—trzecie zwykle
Panie mielą w młynku.
Pierwsze drugie złego
Nigdy nie ominie,
Całość bardzo często
Wśród pustyni ginie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Mischel, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Zamieć, zroś, kier.

Arytmograf.

Ułożył A. i M. K. Kraków.

Kwadraty i cyfry zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Początkowe głoski, czytane z góry na dół, dadzą nam najnowsze zdarzenie z historyi Krakowa.

□ 1 2 3 4 5 6
□ 7 3 1 8
□ 9 10 11
□ 1 5 10 4 1
□ 1 7 12 6 2
□ 13 14 15 3 4 14 1
□ 1 12 9 3 8
□ 3 16 14 9
□ 4 7 3 12 17 3 4
□ 10 2 14 18 12
□ 19
□ 1 12 4 1

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Szczytny cel. 3. Bajkopisarz grecki. 4. Jedna z żon Zeusa. 5. Rodzaj tańca. 6. Córka Agamemnona. 7. Mały człowieczek 8. Ptak 9 Bajkopisarz duński. 10. Najmniejszy z ptaków. 11. Zaimek. 12. Miasto w Bułgaryi, pod którem wojska chrześcijańskie poniosły klęskę.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył A. i M. K. Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Dzik, czas, za, las, pasza, popas, wój. pije, j, a, u.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Anatola Krzyżanowskiego:* **U progu nowego życia.**

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Kliszo z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.